...AW WOLSKI

W ZLOTY NA PARNAS

Profile duchowe
poetów współczesnych.

Edward Słoński,
Bogusław Adamowicz,
Edward Siwiński,
Marja Komornicka,
Agi Wdaj,
Władysław Sterling,
Zdzisław Dębicki,
Jerzy Żuławski,
Kazimierz Tetmajer w najnowszych utworach,
Kazimierz Gliński,
Franciszka Arnsztajnowa,
Leopold Staff.

WARSZAWA
1902.

Serya pierwsza.

http://rcin.org.pl

Druk. „Gazety Rolniczej" w Warszawie.

http://rcin.org.pl

Szanownemu Panu

Kazimierzowi Kaszewskiemu

w dowód głębokiego szacunku

od Autora

17/8 1901 r.

Wzloty na Parnas.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Wacław Wolski.

Wzloty na Parnas.

PROFILE DUCHOWE POETÓW WSPÓŁCZESNYCH.

Serya pierwsza.

Edward Słoński, Bogusław Adamowicz, Edward Siwiński, Marja Komornicka, Agi Wdaj, Władysław Sterling, Zdzisław Dębicki, Jerzy Żuławski, Kazimierz Tetmajer w najnowszych utworach, Kazimierz Gliński, Franciszka Arnsztajnowa, Leopold Staff.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
tel. 022 657 28 42

WARSZAWA.

Druk „Gazety Rolniczej" (W. Musielewicza),
Złota № 24.

1901.

http://rcin.org.pl

INSTYTUT BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

Дозволено Цензурою.

Варшава, Августа 21 дня 1901 года.

http://rcin.org.pl

Szanownemu Profesorowi

Piotrowi Chmielowskiemu

w dowód głębokiego szacunku

składa w hołdzie

Autor.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

SPIS RZECZY.

	Stron.
Edward Słoński.	1
Bogusław Adamowicz.	17
Edward Siwiński.	24
Marya Komornicka.	36
Agi Wdaj	54
Władysław Sterling.	62
Zdzisław Dębicki	70
Jerzy Żuławski	80
Kazimierz Tetmajer w najnowszych utworach	91
Kazimierz Gliński	114
Franciszka Arnsztajnowa	124
Leopold Staff.	133

http://rcin.org.pl

SPIS RZECZY.

Edward Stoński. 1
Bogusław Adamowicz. 19
Edward Siwiński. 41
Marya Komornicka. 56
Jan Wdy 74
Władysław Sieroszewski 80
Zdzisław Dębicki 92
Jerzy Żmiwski 80
Stanisław Tarnajer w najnowszych
utworach 91
Kazimierz Tetmajer 111
Franciszka Arnsztajnowa 129
Leopold Staff. 132

http://rcin.org.pl

Edward Słoński.

Gdyby nam kazano jaknajzwięźlej określić charakter poezyj p. Słońskiego [1]), przedewszystkiem nasunąłby się nam pod pióro jeden wyraz: „zaduma“. Próbując uzmysłowić ogólny ich nastrój przy pomocy pejzażu, powiedzielibyśmy, że jest to smętna, melancholijna zaduma naszych pól jesienią, kiedy białe pasma babiego lata unoszą się nad rżyskami, ozłoconemi jakby przymglonem światłem zamierającego słońca. Smutek, melancholja, zaduma, tęsknota za czemś niedoścignionem, są zasadniczemi rysami duchowego oblicza poety. Uważny psychofizjonomista mógłby spostrzedz na niem chwilami pewną przymieszkę mimowolnej pozy. P. Słoński niekiedy sprawia wrażenie, jakby czuł bezwie-

[1]) Edward Słoński. Poezye. I. Warszawa, 1899.

http://rcin.org.pl

dnie, że ze smętną zadumą jest mu wcale do twarzy. Fenomen ów psychologiczny nie wyklucza bynajmniej prawdziwej, gruntownej szczerości, i można go zapisać na karb ułomnej natury ludzkiej. „Człowiek — powiada Daniłowski—gdy płacze, to i wtenczas nieomieszka patrzeć przez łzy, jakie to sprawia na innych wrażenie i czy mu z tem do twarzy?“ P. Sł. np. zdaje się poniekąd lubować tem, że „tęsknota siadła u proga jego chaty“, albo że „ból do niej zajrzał“, gdyż wyrażeń tych używa w omawianym przez nas zbiorku kilkakrotnie. Przemożny wpływ Konopnickiej, pod jakim powstały dwie poprzednie broszurki p. Słońskiego (które weszły zresztą prawie w całości w skład ocenianego tomiku), przechodzący niekiedy w proste naśladownictwo (jak np. w wierszu „Na te pola pójdę“..., w „Czarach“), ustąpił co do stopnia siły wpływowi Słowackiego, nie zniknąwszy wszakże. Wpływy Konopnickiej i Słowackiego krzyżują się ze sobą, przyczem ten ostatni przeważa. Pod osłoną potężnych rodzicielskich skrzydeł p. Słoński, będący duchowem dzieckiem Słowackiego i Konopnickiej, rozpoczyna stawiać pierwsze nieśmiałe samodzielne kroki. W pomieszczonym na czele książki melancholijnym poemaciku „Z zadumań“, gdzie już zaczy-

http://rcin.org.pl

na się zarysowywać sympatyczna indywidualność młodego poety, mającego w sobie „duszę smutkami innych smutną“, a u ramion „złamanych skrzydeł dwoje, jak zwiędły liść, wiszących“, błąkają się szlochające echa „Godziny myśli“. Zalecający się pewną siłą i plastyką słowa wiersz „Na arenie“ (mimowoli nasuwający niebezpieczne dla siebie porównania, z przepysznemi obrazami walki gladyatorów za czasów Nerona w „Ahaswerusie w Rzymie“ Hammerlinga i w naszem „Quo vadis?“ Sienkiewicza) i „opalowemi owiana szronami“ wizya zimowa „Dwa Światy“, ukazująca nam ze wzruszającą prawdą smutne kontrasty społeczne, zostały stworzone pod wpływem Konopnickiej. „Trzy grzechy“ (żądza sławy, miłość dla kobiety i śmierć samobójcza) są zwykłą, zbanalizowaną już dla nas bajroniczną spowiedzią przedśmiertną, nie zawierającą w sobie ani szczypty współczesnego ducha. Będąc słabem echem romantyzmu, dłuższy ten utwór pozostawia nas zupełnie chłodnymi, podczas kiedy np. nawskróś modernistyczny, zda się przy ponurych dźwiękach marsza pogrzebowego Szopena krwią i łzami pisany „Vox posthuma“ Langego, wstrząsa nami do głębi... Przejdźmy jednak do tych poezyj p. Sł., w których jaźń, indywidualność,

http://rcin.org.pl

rdzenna treść duchowa ich autora, które nas przedewszystkiem obchodzą, uwidoczniają się najwyraźniej. Z grubych łupin obcych wpływów i naleciałości wyłuskajmy mistyczne ziarno własnej duszy poety, w pewien oryginalny, sobie tylko właściwy sposób reagującej na otaczający świat i życie. Na samym wstępie zaznaczyliśmy, że jest to dusza zadumana i smutna, z lekkim odcieniem mimowolnej pozy. Obecnie możemy dodać, że zaczyna się ona zwolna pogłębiać, uświadamiać filozoficznie i społecznie. W pięknym wierszu „Smutna jest dusza moja“ skrystalizował się filozoficzny światopogląd autora. Widzimy tutaj świadomy swojej nicości, biedny ludzki atom, wobec ogromu wszechświata i straszliwej tajemnicy życia. Czuje się on tutaj obcym, wie dobrze, że jest tylko „przejściową formą materyi i siły“, obawia się śmierci i drży przed nicością... Ale nie o siebie tylko mu chodzi. Jakim jest cel tego wszystkiego? Po co ta masowa męczarnia? Zupełnie naturalne uczucie przygnębienia, jakiego wszyscy doznajemy przy zadawaniu sobie tych hamletowych pytań, na które ludzkość, zdaje się, nigdy nie otrzyma odpowiedzi, przechodzi stopniowo w jakąś pokrzepiającą serce otuchę przy czytaniu podniosłych hymnów do wiary i do

http://rcin.org.pl

poezyi. Przeszedłszy za życia przez piekło cierpienia, poeta jednak wierzy „w świata odrodzenie, w dusz obcowanie ponad ziemią“ i wierzy „w siły, które drzemią, zaklęte w senność i milczenie“... A nawet „w szczęście, w zwykłe ludzkie szczęście“... Hymn do poezyi jest natchnioną modlitwą duszy. Społeczne przekonania autora znalazły najlepszy swój wyraz w pięknych, wytwornych sonetach: „Głód“, „Nuda“ i „Błyszcząca nędza“ (wciąż teraz mówimy o utworach, w których pan Sł. jest sobą, t. j. nie podlega żadnym wpływom). Szczególnie „Błyszcząca nędza“ zaleca się subtelnem psychologicznie odczuciem tragicznego położenia wielkoświatowej kokoty, która, kiedy śmierć przyjdzie, „umrze biedna, zawsze samotna i zawsze jedna, z swem nieodstępnem ubóstwem ducha“. Świeży powiew oryginalnej poezyi orzeźwia nas jeszcze w „Baśniach“, w silnym, duchem współczesności owianym wierszu: „Ja się nie boję śmierci“, w nastrojowym „Marszu żałobnym“, w wierszach: „Rozczarowanie“, „W szesnastym roku“, „W balowej sali“, „Baśń“, „Z zimowych pieśni“, „Nasz sad“, „Jak ja lubię“ i może jeszcze w paru innych. Zbiorek zakończają dosyć cięte „Trzy strofy“, skreślone w chwili dobrego humoru ad usum „małego krytyka“ z „Ty-

http://rcin.org.pl

godnika“ a pro domo poety. Nie wydają się nam one stosownemi, jak wogóle wszelkie publiczne ujmowanie się autora za sobą samym, czy to będzie Sienkiewicz w „Listach z Afryki“, czy Tetmajer w trzeciej seryi poezyj, czy też p. Słoński. Co się tyczy formy, uderza przedewszystkiem w autorze ocenianego przez nas tomiku, wielkie poczucie muzykalności i rytmiki wiersza. Że pan Słoński jest urodzonym poetą, za dowód może posłużyć pomiędzy innemi to, że sprawia on wrażenie, jakby już przyszedł na świat z gotowem w duszy poczuciem rytmu i muzyki mowy. W myśl biblijnej przypowieści, że nowe wino do nowej trzeba wlewać kadzi (bo nowe wino starą kadź rozsadzi), p. Słoński do nowej treści tych swoich utworów, gdzie jest przedewszystkiem sobą, poszukuje wciąż nowej formy, co jest chwalebnem. Zastanawiającą i dającą do myślenia jest zbieżność nowej treści takich nawskroś indywidualnych poezyj autora, jak: „Wiara“, „Poezya“, „Ja się nie boję śmierci“ z nową, łamaną formą wiersza. Ciekawemi odmianami sonetu są dwa szesnastowierszowe sonety: „Głód“ i „Nuda“. Błędy językowe przytrafiają się czasami panu Sł., np. „urągać się“, zamiast „urągać“, „przeciw prądu“, zamiast „przeciw prądowi“ i t. p. Wy-

http://rcin.org.pl

rażenie „nieletnie pacholę“ jest pleonazmem, gdyż każde pacholę jest nieletniem. „Ach! ty się płonisz!... więc się płoń!“, zezwala wspaniałomyślnie płonić się swojej ukochanej młody poeta, nie zdając sobie chwilowo widocznie sprawy z tego, że płonienie się jest rzeczą niezależną od naszej woli i że prawdopodobnie jego ukochana płoniłaby się najspokojniej nawet wtedy, gdyby jej tego pan i władca zabronił. To „więc“ jest tutaj klasycznem („Z melodyj wschodnich“). Summa summarum sygnalizujemy zjawienie się nowego poety, od którego mamy prawo spodziewać się wiele.

* * *

...Cicho szumią płaczące złote harfy, prawie niedosłyszalnie szemrzą, jak leciuchne westchnienia, albo jak balsamiczny, wonią kwiecia odurzający powiew wiosennego zefiru, wygrywane na najcieńszych, włosowatych strunach duszy współczesnej — pajęczej delikatności stimmungi... Stanowią one stłumione, przyciszone tło orkiestrowe dla dzikich, strasznych krzyków nieludzkiego bólu, wydzierających się z ociekłej krwią i łzami, tragiczną łuną rozpalonych do czerwoności miedzianych potwornych smoków, bestyj apokali-

http://rcin.org.pl

ptycznych ponuro oświeconej, poe'owskiej Gehenny, z udręczonej, potępieńczej, nieszczęsnej, krwawej duszy Przybyszewskiego; dla potężnych, organowo grzmiących, bo też straszliwą, porodową boleścią wszechstworzenia ryczących hymnów szlochającego, jak wiolonczela, człowieczego serca „syna ziemi“ Kasprowicza; dla eurypidesowych, czystych, szlachetnych tonów, anankowo dźwięczących ze spiżowych strun antycznego tetrachordu Wyspiańskiego; dla marzącego plusku krynicznego, chłodnego zdroju poezyi, tryskającej z wiecznie stulonych do jakiegoś mistycznego pocałunku, wytwornie zarysowanych warg olbrzymiego szmaragdowego sfinksa—Miriama; dla skrzypcowej księżycowej symfonii wreszcie, łkającej fontannowo na kwincie, Sarasatego naszej młodej poezyi, indyjskiego księcia Benaresu, wdzięcznego śpiewaka „Lotosu“, Żuławskiego...

Do złotych bram sztuki podchodzi w zadumie romantyczny Filon z marzącemi oczami, w bajronicznym płaszczu, niedbale narzuconym na ramiona... Nieco opodal zatrzymał się stale towarzyszący mu orszak: jakieś ogromne drabisko, z czerwoną twarzą i z białemi włosami, w królewskim purpurowym płaszczu i w koronie na głowie, dokoła niego w powietrzu za-

http://rcin.org.pl

wieszone olbrzymie purpurowe koła; potem inne, także straszliwe chłopisko, ze łzami zastygłemi na sinej twarzy, jak sople lodu, o długich polipich ramionach; wysoka, tęga baba, w powłóczystej zielonej chlamidzie, z zielonemi, dziwnie smutnemi oczami, i inne jeszcze, również zakazane, dziwaczne postacie... Czyżby to był przebrany upiór Edgara Poe, a ponure otaczające go draby, czyżby były obłędnemi, strasznemi, krwawemi wizyami tego stratowanego przez bezduszną hordę ludzką geniusza?... Tylko że, jak na genialne wizye twórcze, zbyt oni przypominają statystów w operze. Pasterz wydobył z pod płaszcza starą zakurzoną gitarę i przy jej rozbitym, niestrojnym, chrapliwym brzęku, próbując trochę wagneryzować i „modernizować", z olbrzymiem, bezdennem uczuciem, zaczął śpiewać dawne romantyczne ballady, wywoływać z przeszłości bajroniczne postacie jakichś starców-demonów, dogasających w ponurych feodalnych zamczyskach, gdzie jęczą w podziemiach, targając wściekle a beznadziejnie brzęczące łańcuchy, straszliwe, wychudłe, przerażające mary (patrz osoby orszaku), wyczarowywać słoneczne wizye jakichś pieśniarzy, niezrozumianych przez zimny, obojętny tłum...

Smutnym, zadumanym, łzawym, ro-

http://rcin.org.pl

mantycznym Filonem naszego młodego Parnasu, jest Edward Słoński; osobami orszaku: Ból, Żal, Tęsknota, Melancholia, Żądza i t. p., brutalne antropomorfizacye, materyalizacye, inkarnacye, czegoś niewypowiedzianego a potężnego, co rozsadzało łono poety i zostało przez niego lekkomyślnie zaklętem w drapichrustów, łażących za nim, jak cienie, którzy zdają się z zimnem okrucieństwem przemawiać do swego duchowego ojca: „Stworzyłeś nas, więc nas masz i już cię nie opuścimy aż do śmierci"... Poezya Słońskiego, pomimo zewnętrznych modernistycznych cech, jakie widocznie stara się on nadawać swoim wydawnictwom, jest spienioną uczuciem powracającą falą romantyzmu. Duch Bajrona, romantyków niemieckich, ballad i pierwszych poematów Mickiewicza—przenika nowsze utwory Słońskiego. Nasz romantyk, jak za najlepszych czasów, polemizuje z „mędrca szkiełkiem i okiem", zapominając o tem, że Mickiewicz w imieniu ciemnych tłumów walczył z oświeconymi klasykami, kochającymi zresztą na swój sposób poezyę i sztukę,—o podeptane prawa uczucia, podczas kiedy dzisiejszy, półwykształcony motłoch burżuazyjny nienawidzi śmiertelnie wszelkiej poezyi i sztuki, a więc wszelkiego grzechu śmiertelnego przeciw szablonowi, ka-

http://rcin.org.pl

żdej potężnej indywidualności, również Mickiewicza i Słowackiego, jak Przybyszewskiego i Kasprowicza, również Matejkę, Grotgera i Chełmońskiego, jak Podkowińskiego, Kurzawę, Wyspiańskiego i Malczewskiego. Potworne ludzkie samochody czy automobile, przerażające automaty, wytwarzane z ludzkich żywych dusz przez współczesną cywilizacyę kapitalistyczno-mieszczańską, reagują ze wstrętem na każdy przejaw oryginalności, świeżości i mocy duchowej. Słoński, wypisując na swoim sztandarze przebrzmiałe romantyczne hasła, nie bierze również pod uwagę tego, że dzisiaj słusznie wymagamy od artysty najotchłanniejszej głębi uświadomienia filozoficznego i społecznego, że Mickiewicz, walcząc w imię uczucia z „mędrca szkiełkiem i okiem", był jednym z najgłębiej, najgruntowniej i najwszechstronniej wykształconych ludzi swojego czasu (że już nie wspomnimy tutaj Göethego), że Przybyszewski, oprócz ogromnej wiedzy filozoficznej, społecznej i literackiej, prawie ukończył medycynę i znany jest z rozprawy naukowej (przyrodniczej), że olbrzymie wszechstronne wykształcenie Miriama stało się przysłowiowem i że ludźmi głęboko ukształconymi i światłymi są: Kasprowicz, Wyspiański i dr fil. Żuławski.

http://rcin.org.pl

Minęły złote czasy genialnych prostaczków w poezyi, — dzisiejszy natchniony aojda, z gwiazdą rozumu i uświadomienia, płonącą nad czołem, przeciwstawia siebie ciemnemu filisterskiemu tłumowi półinteligencyi mieszczańskiej...

Słoński jest wulkanem uczucia; w szlachetnej, gorącej jego piersi przewala się ze wściekłym rykiem i rozpaczliwem szlochaniem kipiące, spienione morze wszechmiłości, na którem wątła, bezradna łupina jego świadomości artystycznej wyprawia najdziksze harce, podrzucana przez wzburzone fale, miota się bez steru i bez wiosła, zamiast żeby, ożywiona rozumną myślą, śmiało żeglować przez gehennowe, krwawe otchłanie do swoich twórczych celów... Słoński znalazł się w położeniu człowieka, posiadającego złote sezamy, nieprzebrane dyamentowe kopalnie, niesłychane skarby Golkondy liryzmu, bezdennego uczucia wzniosłej, pięknej duszy, a który, nie będąc górnikiem, sam nie wie, co z tem baśniowem bogactwem ma zrobić i jak się zabrać do jego eksploatacyi... Ciemny ocean żywiołowego natchnienia, bez elektrycznych słońc uświadomienia, otchłanny wszechświat uczucia, nie rozświecony złotemi kandelabrami gwiazd, pochodni idei...

http://rcin.org.pl

Jednem słowem, strona emocyonalna dochodzi w Słońskim do olbrzymich rozmiarów, natomiast strona myślowa, ideowa jest nadzwyczaj ubogą, nie będąc zasilaną żywemi, płomiennemi sokami sceptycznej duchowej kultury i wiedzy współczesnej. Najgenialniejsza nawet intuicya nigdy nie zastąpi zwartego, skoncentrowanego, indywidualnego światopoglądu, jakiego od przychodzącego do nas artysty słusznie wymagać mamy prawo. Indywidualność Słońskiego, jako poety, znajduje się jeszcze w okresie mgławicowym. Przypomina nam ona formujące się medyumicze inkarnacye, jakieś białe muślinowe mgły, z przebłyskującemi w nich gdzieniegdzie światełkami... Słoński dotychczas nie dotarł do wewnętrznego rytmu duszy. Będzie to możliwem dopiero wtedy, gdy rozświeci on mroczne otchłanie swojej jaźni błyskawicami uświadomienia, gdy, o ile to jest możliwe, pozna siebie, gdy spróbuje röntgenowskiemi promieniami świetlanego duchowego wzroku badać najgłębsze pokłady nieświadomego, nieznanego wszechświata duszy... Rytm poezyi Słońskiego powierzchowny, zaskórny, sprawia, że dotychczasowe jego utwory są tylko reminiscencyami romantyzmu. Kategorye myślenia i odczuwania u Słońskiego są do tego stopnia romantyczne, że co

http://rcin.org.pl

do jego współczesności, modernizmu, jeżeli kiedykolwiek ten nieszczęsny poeta doświdruje się do źródła swojego ja, do wewnętrznego rytmu duszy, możemy zaledwie niepewne żywić domysły... A Słoński chciałby być współczesnym, intuicyjnie przeczuwa tajemniczą istotę świeżego tchnienia w poezyi, nowy dreszcz duszy — i szarpie się z sobą i męczy niewypowiedzianie, gdyż czuje instynktownie, że ciąży na nim klątwa romantyzmu. Wszystkie jego utwory powleka lśniąca patyna mimowolnej romantycznej pozy...

Słoński, posiadając minimalną świadomość artystyczną, daje się unosić łatwości tworzenia, porywać szumiącym kaskadom łatwych rymów (tak, że niejednokrotnie w skutek luźnego kojarzenia się wyobrażeń, rym pociąga za sobą u niego treść), „poetycznych“ obrazów, „romantycznych“ ugrupowań, harfianych szumów, ognistych słonecznych pióropuszów (jakież to dekoracyjnie teatralne!), prawie zawsze zrymowanych z duszą bohatera poematu, będących nie wnętrznem światłem duchowej istoty twórcy, tylko jej błyskotliwie lśniącą fosforescencyą... Słońskiemu ogromnie brakuje kondensacyi, skoncentrowania się, jest on rozwlekłym, gadatliwym, trochę płaksiwym romantykiem. Skoncentrowanym arty-

http://rcin.org.pl

stą przeszkadza mu zostać zbytnie ukochanie życia, ukochanie ludzi... Przytem nużą swoją monotonią niektóre powtarzające się charakterystyczne zwroty, niby stałe epitety u Homera, np. żądza u Słońskiego leży zawsze na barłogu gnijącego siana, ból w dwóch już utworach jest w wiadomy sposób wyobrażony. Widocznie wyobrażenie bólu kojarzy się zawsze u Słońskiego z wizyą czerwonej barwy. Nie będąc uświadomionym filozoficznie, Słoński lekkomyślnie, trochę nawet po dziecinnemu, operuje takiemi wielkiemi wyrazami, jak: wieczność, nieskończoność, nie zdając sobie sprawy z całej otchłannej głębi pojęć, jakie te wyrazy oznaczają („nieskończoności prosto patrzeć w oczy", „tutaj z wiecznością mówi Bóg, nędzarze!" — oba te powiedzenia są banalnemi frazesami, literalnie nic nie oznaczającemi, a takich znajdujemy u Słońskiego więcej).

Sumienność sprawozdawcza nakazuje nam podnieść nadzwyczajną rytmiczność i śpiewność poematów Słońskiego (jest to stanowczo poeta urodzony), podniosły etycznie ton jego poezyi, ładne, „poetyczne" obrazowanie (będące, niestety, tylko lśniącą fosforescencyą artystycznej jaźni Słońskiego) i parę urywków, dających do myślenia, że przywalony zwaliskami i gru-

http://rcin.org.pl

zami romantyzmu, sączy się jednak w tej duszy jakiś żywy zdrój odczucia ducha współczesności, modernizmu. Oto owe fragmenty: „Otworzę tobie mórz zielonych głębie i gór olbrzymich otworzę ci wnętrza“... „Widział miliony słońc i gwiazd miliony i w nieskończoność idące, słoneczne szlaki i widział srebrne drogi mleczne, słoneczne berła, słoneczne korony, w purpurach wielkich stojące ołtarze i białe twarze, archanielskie twarze“... „I ta noc długa — ta noc, która niby sfinks, martwa na nich patrzyła przez szyby“... Poszukawszy, możeby się znalazło jeszcze kilka urywków...

Indywidualność artystyczna Słońskiego dotychczas niepewne ma zarysy, jest nieuchwytna, mglista, chociaż dość świetlana... Nieokreślony ból, żal, tęsknota, melancholia, rozpierają jego pierś gorącą, młodą, sam on dobrze nie wie czemu... Czasami dusi go straszliwa zmora żądzy cielesnej (zauważyliśmy w tej pięknej duszy chwalebną tęsknotę do ascezy)... Pozatem jest to poeta szczery, człowiek ogromnie dobry, szlachetny, kochający gorąco poezyę i sztukę, i również gorąco pragnący zostać poetą współczesnym z ducha, modernistą. Pragnęlibyśmy serdecznie spełnienia tych pragnień, gdyż metal to szlachetny, złoty...

---

http://rcin.org.pl

INSTYTUT BADAŃ LITERACKICH PAN BIBLIOTEKA

Bogusław Adamowicz.

Istnieje gatunek poetów mistycznych o chorobliwie (nieraz do potwornych rozmiarów) rozrośniętej świadomości, nadzwyczaj boleśnie odczuwających tragizm życia. Z organizacyami intellektualistycznemi mózgowców mają oni to wspólnego, że są tak samo, jak tamte, nawskroś przeżarci rdzą analizy i refleksyi. Różnią się zaś od nich o całe niebo (a raczej o całe piekło katuszy) bezdenną głębią ogromnego, wszechogarniającego uczucia i jakimś tajemniczym związkiem z istotą wszechrzeczy, intuicyjnem przeczuwaniem sfinksowej zagadki bytu. Niemożność sformułowania niejasnych przeczuć, pochwycenia, że tak powiemy, na kliszę świadomości zamglonego, wciąż wymykającego się im obrazu absolutnej prawdy, jest przekleństwem ich życia, a twórczość w rezultatach swoich

http://rcin.org.pl

(względnie do zakresu aspiracyj) bezpłodną męczarnią. Naturalnie, wszystkie dopiero co wymienione przez nas właściwości mogą być mniej, lub bardziej spotęgowane. Z pośród mistycznych poetów XIX wieku, przedewszystkiem uderzają nas tragiczne postacie Edgara Poe, Hoffmana i Baudelaire'a. Przechodząc odrazu do obecnej doby poezyi naszej, do tego gatunku mistyków, zaliczylibyśmy Przybyszewskiego, Langego, Komornicką. Sądząc z leżącej na naszem biurku sprawozdawczem paru-arkuszowej broszury, [1]) do tego typu poetów należy również p. Adamowicz. Jest to artysta szczery o niezaprzeczonym talencie, pozostający dotychczas pod wpływem przeważnie Baudelaire'a, z czego jakby sam sobie zresztą zdawał sprawę („Za kim?"). Wpływ ten odbił się przedewszystkiem na cyklu utworów „Z tragedyi krwi". Odczuwamy w nich grobowy nastrój baudelaire'owskiej muzy, osłaniającej czarnym welonem potępieńczym bólem wykrzywione lica; toż samo lubowanie się w okropnościach zwyrodniałej natury ludzkiej („Fleurs du mal"). Szczególniej typowemi pod tym ostatnim względem są poezye: „Wąż" i „Zgro-

[1]) Bogusław Adamowicz. Poezye. Serya I. Warszawa, 1899.

http://rcin.org.pl

za". W „Zgrozie" obłąkany miłością i rozpaczą nieszczęśnik porywa swoją zmarłą ukochaną z grobowca, wywlókłszy ją przedtem z trumny, unosi ze sobą i dopiero nad ranem oryentuje się, że „przez noc całą miał w objęciach trupa". Wstrzymujemy się od wydawania sądu o estetyczności treści utworu wobec tego, że zamierzony efekt zgrozy autor do pewnego stopnia osiągnął, o co mu zapewne tylko tym razem chodziło. Na obu tych fragmentach cyklu „Z tragedyi krwi" znać również pewien wpływ tetmajerowych „pożądań wściekłych, spienionych obłędów", pochodzących zresztą z tegoż samego baudelaire'owskiego źródła. Na karb indywidualności artystycznej p. Adamowicza, o której za chwilę pomówimy obszerniej, zapisać należy w tym dziale jego poezyj namiętną chęć dotarcia do absolutnej prawdy wogóle, a do tajemniczych fizyologicznych podstaw miłosnego popędu w szczególności („Nagość", „Piąty żywioł"), i pewien naiwny trochę patos, z jakim przeklina on ludzi „za każdą rozkosz piersi, co nie drgnie porodem, za każdy pusty (?) uścisk, który nie zapłodnia" (chyba nie zapładnia?). Nie mamy bynajmniej zamiaru kruszyć z młodym poetą kopij o to, czy oburzenie jego jest słusznem (chociażby z tego względ-

http://rcin.org.pl

du, że słynna teorya Malthusa już oddawna została zdyskredytowaną w nauce ekonomii politycznej); zdaje się nam jednak, że zbyt pośpiesznie, jak na poważnego socyologa, potępia on bezdzietne małżeństwa, takichże kawalerów, prostytutki i t. p. jałowe egzystencye. Mówiąc zupełnie seryo, przydałoby się autorowi bezwątpienia trochę większe obeznanie się z naukami społecznemi. Pod względem społecznego i filozoficznego wykształcenia p. Adamowicz nieco szwankuje, co wywiera niezbyt korzystny wpływ na jego poezye. „Klątwa“ jest zupełnie lichym i poronionym utworem także z powodu swojej nadętej pretensyonalności, a chwilami nawet zupełnej niezrozumiałości. Pegaza z rzędem damy poecie, jeżeli nam powie, co znaczą np. „orgje inkubów szkielece?“ Wogóle cały ten cykl „Z tragedyi krwi“ sprawia wrażenie czegoś wymęczonego, mozolnie wykutego na modłę Baudelaire'a, a przeto, jako nie wnoszący ze sobą do poezyi prawie nic nowego, jest chybionym artystycznie. Przechodzimy do działu „Z waryacyj“, gdzie oprócz ckliwego i sentymentalnego wiersza „Lilia“, który się niepotrzebnie tutaj zabłąkał, znajdujemy same płody szczerego natchnienia. Wprawdzie widnokrąg duchowy autora stale przesła-

http://rcin.org.pl

nia czarna muślinowa gaza baudelaire'owskiej beznadziejnej melancholii, nie zapominajmy jednak, że, jak to już zaznaczyliśmy na wstępie, p. Adamowicz należy do tego samego typu poetów, co Baudelaire. Indywidualność artystyczna autora, wyłaniająca się z mroku trochę jeszcze mglistym konturem, posiada wszystkie charakterystyczne cechy mistyków, wymienione przez nas na początku. Z poza czarnych liter broszury wyziera ku nam dusza znękana samoudręczeniem, serce przedwcześnie zgorzkniałe, ale gorące, ożywione szlachetnym zapałem do sztuki, umysł wyrafinowany, chociaż niezupełnie dotychczas ukształcony. Wszystko jakby opromienia smutny, chorobliwy wdzięk beznadziejności. Zbytnia samowiedza, połączona z bolesnem poczuciem tragizmu życia, spętały młodemu poecie skrzydła, zrywające się we „Wzlotach Ikara“ (na pięknym, silnym tym utworze znać pewne ślady wpływu improwizacyi Konrada) do wichrowego, potężnego lotu. W „Harfie“, którą postawilibyśmy zaraz na drugiem miejscu, trzepocze się, jak ptak raniony, żywe serce lutnisty. Przytem, autor znakomicie scharakteryzował tutaj samego siebie, razem ze swoją wewnętrzną duchową rozterką. Ponury, tragiczny „Krajobraz kainowy“ nastraja nas

http://rcin.org.pl

odpowiednio swoim dantejskim kolorytem, który zaciemnia także „Harfę“ i pomieszczony na końcu mistyczny poemat „Miasto umarłych“. Piękny ten utwór nacechowany jest męczącą tajemniczością Edgara Poe, którego wpływ oddziaływał również na p. Adamowicza. Przytem na dnie „Miasta umarłych“ ukrywa się zdrowa, bo zdążająca ku poprawie, myśl społeczna. Nastrojowością i dosyć oryginalnemi refleksyami zaleca się wiersz „W księżycowy brzask“. Podniosłą i szczerą jest rozpoczynająca broszurę modlitwa „W posuchę“. Wszystkie te poezye ożywia duch modernizmu. Pod względem formy serya I p. Adamowicza przedstawia się dosyć ubogo. Nuży nas w niej monotonia czterowierszowych zwrotek i rymy zwyczajne, niekiedy zaniedbane. Język pozostawia wiele do życzenia. Autor każe niekiedy słowom czynnym być biernemi („Wonie wywiały z pączków kielicha“ w znaczeniu „uleciały“, „pierś przenika chłodem“, zamiast „pierś przenika chłód“), używa takich zwrotów, jak: „Jest klątwa zatracenia. Nią nad synów głową“ i t. d. P. Adamowicz popełnia rusycyzmy, np.: „W głuchą i pełną grozy zaniósłszy ją stronę“, zamiast „do kraju“, „Ktoś ty i z jakiejś strony, mistrzu mój, proroku?“, zamiast

http://rcin.org.pl

„z jakiego jesteś kraju?“ Niema w naszym języku słowa „rozbłyskać się“, tylko „rozbłyskać“. Styl dosyć wymuszony, chwilami nawet wymęczony. Poczucie rytmu i muzykalności wiersza duże. Trzeba dużo jeszcze pracować nad sobą, nad zaniedbanem trochę wykształceniem społecznem i filozoficznem, nad mową ojczystą, a może, kiedy duch poety zmężnieje, ziści się z czasem jego „złota nadzieja“, może kiedyś dłoń lutnisty, szarpiąc struny harfy, „jeden z nich wielki ton wydobędzie“.

http://rcin.org.pl

Edward Siwiński.

Jest jakaś melancholia w pośmiertnych wydaniach. Coś uroczystego ma zawsze w sobie głos, dobywający się jakby z za grobu, a przytem taka pośmiertna książka sprawia na nas wrażenie spóźnionej spłaty długu zaciągniętego przez społeczeństwo u zmarłego pisarza za życia. Edward Siwiński, którego zbiór wierszy mamy przed sobą [1]), był znanym na innych polach działalności społecznej, pomiędzy innemi jako zdolny i sumienny krytyk. W ocenianej przez nas broszurze jest jedna karta (str. 59 i 60), świadcząca, że był on w duszy poetą. Z pozostałych kart, wypełnionych satyrycznemi

[1]) Poezye Edwarda Siwińskiego z rycinami Wojciecha Gersona. Wydanie pośmiertne. Warszawa, 1889.

http://rcin.org.pl

wierszami, takiemiż monologami i dyalogami, albumowemi komplementami, wreszcie fraszkami, a nawet weselnemi toastami, jednem słowem, utworami, nie roszczącemi sobie bynajmniej pretensyi do poezyi, ciekawe możemy wysnuwać wnioski o indywidualności Siwińskiego, jako pisarza i człowieka. Rozumny, dobrze myślący, postępowy, duchowe dziecko epoki przełomu, przez jaki nasze społeczeństwo przechodziło za czasów jego młodości, nadzwyczaj sympatycznie kojarzył w sobie cześć i uwielbienie dla Hussa, Giordano Bruno i Vaniniego z ukochaniem rycerskiej odwagi. Jak pyszną i charakterystyczną jest np. żartobliwa obawa, wyrażona przez niego w liście „Do Janki", czy przysłanie mu w prezencie przez pannę Jankę zająca, który słynie, jak wiadomo, z tego, że ma talent w nogach, nie jest przypadkiem jaką aluzyą?... Mamy tutaj do czynienia ze znanem w historyi i socyologii, zawsze na pograniczu dwóch etapów społecznego rozwoju zachodzącem zjawiskiem endosmozy, czyli przenikania się wzajemnego sprzecznych nawet niekiedy przekonań i ideałów.

Chcielibyśmy być dobrze zrozumianymi. Ideały rycerskiej przeszłości znakomicie mogły harmonizować z kultem dla apostołów wolnej myśli, jak: Huss

http://rcin.org.pl

i Giordano Bruno, ale trzeba przyznać, że były one najzupełniej sprzeczne z hasłami pracy organicznej, z całym duchem „postępowości“ owoczesnej, odżegnywującej się energicznie od niedawnych wspomnień i od wszelkich na przyszłość wojowniczych zapędów. Siwiński nie był satyrykiem w głębszem znaczeniu tego wyrazu, chociaż się sam za takiego uważał („Satyr pisać nie warto). Nie był on zdolnym wejrzeć głębiej we współczesne sobie życie, żeby potem módz chłostać biczem krwawej satyry podstawowe śmieszności i wady natury ludzkiej, a także nienormalnych stosunków społecznych. Duchowej jego organizacyi brakło szlachetnego patosu oburzenia, jakie w nas budzi krzycząca niesprawiedliwość, zakorzeniona w podstawach społecznego ustroju. Co prawda, śmiesznem byłoby nawet wymagać od niego, żeby został w swoich utworach trybunem mas ludowych, skoro wiemy o tem, że śród postępowej inteligencyi ówczesnej kursowały zupełnie inne poglądy i wyobrażenia. Myślano wprawdzie o „oświecaniu kraju od piwnic aż do poddaszy“, ale nie troszczono się bynajmniej o polepszenie bytu materyalnego tymże piwnicom i poddaszom. Jednem słowem, brak uświadomienia społecznego powodował indyferentyzm

http://rcin.org.pl

warstwy oświeconej względem położenia klas pracujących, a warunki te nie sprzyjały powstaniu u nas głębszej satyry społecznej. Same tytuły niektórych wierszy satyrycznych Siwińskiego („Jak nie można się żenić, gdzie wiele panien w domu“, „Mąż wdowy“), świadczą, że tematy tych wierszy są powierzchowne i błahe. Autor ich posiadał zapewne na tyle samokrytyki i zdrowego rozsądku, że nie marzył nawet o laurach Juvenalów, Horacych, a chociażby Opalińskich, Naruszewiczów i Krasickich. Z Horacym łączy go chyba tylko wzmianka o „poważnych butelkach, zapylonych wielce“, koniaku, szartrezie „strojnej w barwy zielonawo szare“, bażancie, homarze i innych przysmakach, przygotowanych w cieniu lipy dla pojedynkujących się dżentelmenów, ich sekundantów i lekarzy, do których to trunków i frykasów przypuszczono energiczny, chociaż przedwczesny szturm, wskutek czego rozprawa honorowa nie przyszła do skutku („Pojedynek“).

Jak widzimy, nie brakło Siwińskiemu satyrycznego zacięcia. Jako człowiek rozumny, doświadczony, znający życie, obdarzony przytem dosyć bystrą spostrzegawczością, w kole powierzchownych stosunków i drobnych śmieszności ludzkich obraca się on prawie swobo-

http://rcin.org.pl

dnie. Niekiedy nawet ostrze jego satyry sięga trochę głębiej, jak np. w dyalogu „Konsultacya“, gdzie w kilku szczęśliwych rysach pochwycił trafny wizerunek obłudnej dewotki i plotkarki Sydonii, przesadnie wyfiokowanej, niby też to nienawidzącej mężczyzn i małżeństwa, a jednocześnie zarzucającej sieci na spróchniałego adonisa, p. Klemensa, którą, jak mina prochowa, wysadza ze sceny przyniesiona przez służącego wiadomość, że „Filuś dostał boleści, Żolka wyje rzewnie“. Nie potrzeba dodawać, że Sydonia jest pasorzytem, jak stary zawiędły bluszcz, wijącym się z całą kolekcyą piesków około egzystencyi swojej siostrzenicy, młodej wdowy p. Anieli, która znowu wzdycha do szlachetnego, chociaż ubogiego p. Henryka. Ów Henryk jest postępowym i kocha skrycie piękną, zamożną wdowę, a swoją kuzynkę. Obawa posądzenia o interesowność czyni go nieśmiałym. Dopiero zazdrość o nieistniejącego rywala, którą w nim zręcznie rozbudza sprytna kobiecina, pokazując mu kopertę z niezapisanym papierem wewnątrz, odgrywającym rolę otrzymanego rzekomo zrana listu z oświadczynami, zmusza go do wyznania. Naiwna, zbyt już po freblowsku uproszczona intryga i brak właściwej akcyi, sprawiają, że pomimo po-

http://rcin.org.pl

działu na sceny, nie możemy uważać „Konsultacyi“ za komedyjkę, a raczej za bezpretensyonalny, lekki, satyryczny dyalog.

Utwór ten wszakże, jak również parę monologów i wogóle skłonność Siwińskiego do nadawania dyalogowej formy swoim dłuższym wierszom, świadczą o pewnych jego aspiracyach w kierunku twórczości dramatycznej. Antytezą niejako bezinteresownego Henryka jest bohater monologu „Mąż wdowy“. Zahypnotyzowany przez wspaniałą, o dwóch frontach kamienicę, żeni się on niebacznie z jej posiadaczką, starą i suchą wdową, mniej dobrze malowaną od kamienicznego pudła, nic nie wiedząc o tem, że został odrazu patryarchą Jakóbem, ojcem licznej konsolacyi (jest tego aż cały tuzin) po trzech swoich poprzednikach w niedoli.

Zostaje więc za chciwość przykładnie ukaranym. Sytuacya, w istocie, pocieszna, chociaż grzeszy nieprawdopodobieństwem, gdyż trudno przypuścić, żeby ten nieszczęśnik, bywając u wdowy w charakterze konkurenta, nie zauważył dwanaściorga drących się i hałasujących bębnów. Przytem, chociaż „Mąż wdowy“ jest monologiem, a więc nie dawał możności autorowi, aspirującemu przecież na satyryka, napiętno-

http://rcin.org.pl

wać rozżarzonem żelazem oburzenia ohydnego frymarku, jakiego się dopuścił nikczemny łowiec posagowy, jednak razi nas trochę okoliczność, że Siwińskiemu śmieszna strona tego wydarzenia jakby przesłaniała niewesoły widok upadku moralnego człowieka, który poszedł poprostu do wdowy na utrzymanie. Niezależnie od moralnego poziomu, mężczyźni Siwińskiego są wogóle jacyś niedołężni, ślamazarni i jakby hebesowaci, a natomiast kobiety bywają u niego z charakterem i energiczne. Jeszcze jednego dowodu powyższego twierdzenia dostarcza nam bezwarunkowo najudatniejsza w całym zbiorze humoreska p. t. „Spowiedź".

Piękne jasnowłose dziewczę, o niebieskich figlarnych oczach, zniewala młodego człowieka, którego uważa widocznie za narzeczonego, do wyznania grzechów, popełnionych w czasie tygodniowej podróży. Wcale przyjemnym konfesyonałem, jak to widać z dołączonej ryciny prof. Gersona, jest wygodna otomanka, na której siedzą oboje: penitent z rozkosznym spowiednikiem. Nie dziw, że w takich warunkach spowiedź przechodzi nadzwyczaj mile, tembardziej, że jedynym grzechem niepoprawnego ślamazary było marzenie o ukochanej, przechowywanie na piersiach uronionej przez nią róży, całowa-

http://rcin.org.pl

nie jej, i t. p. Rozmowa (niepodobna nazwać jej flirtem, tak jest jakoś serdeczną i prostą) kończy się przyrzeczeniem... grzeszenia w dalszym ciągu, jakie rezolutna panienka bierze od zakochanego w niej młodzieńca. Jowialny humor, miła żartobliwość i słoneczna pogoda opromieniają ten wdzięczny, rodzajowy obrazek, pokrewny nastrojem znanemu wierszowi Czesława „Ujrzałem raz i kocham już!“ Widać tutaj dobry, pobłażliwy uśmiech starszego człowieka, znającego życie i spoglądającego życzliwie na dwie młode głowy, które ozłocił jeden z nielicznych promyków szczęścia. Jowialna, prostoduszna natura talentu Siwińskiego. pogodny jego w gruncie rzeczy pogląd na świat, skłaniały go raczej w stronę szlachetnego, literackiego humoru, niż krwawej satyry, chłoszczącej bez miłosierdzia śmieszności i wady ludzkie.

Powyższe mniemanie zdają się potwierdzać, z jednej strony omawiana przed chwilą humoreska „Spowiedź“ i oba pogodne, żartobliwe a rzewne wiersze „Do Janki“, z drugiej zaś strony ta okoliczność, że u Siwińskiego w satyrach poczucie komizmu bierze prawie zawsze górę nad chęcią wyszydzania i karcenia. Przytem, samo założenie niektórych satyr („Jak nie mo-

http://rcin.org.pl

żna się żenić, gdzie wiele panien w domu", „Mąż wdowy") jest par excellence humorystyczne. Najudatniejszą i najgłębszą satyrą Siwińskiego jest jedyny utwór, przez niego samego nazwany „satyrą", zatytułowany: „Satyr pisać nie warto". W utworze tym została dzielnie wyśmiana miłość własna i głupota czterech oryginałów: Kandyda, Jędrzeja, Piotra i Jana, które im przeszkodziły ujrzeć własne śmieszne fizyognomie w zwierciadle satyry na głupców, gdzie autor, „werwą Krasickiego opętan jak biesem", poprostu sportretował ich, według własnego mniemania, a w istocie rzeczy ich głupotę, drobne śmieszności i przywary, jak: pseudouczoność Kandyda, politykomanię Jędrzeja i Piotra, bezduszność tchórzowatego Jasieczka. Spełniwszy obowiązek prawego satyryka, autor czekał spokojnie przypuszczalnych konsekwencyj swojego wystąpienia, zdecydowany stanąć na placu każdemu z rozwścieczonych prawdopodobnie mimowolnych modelów. Lecz jakież było jego osłupienie, kiedy sportretowani głupcy zaczęli mu po kolei składać gratulacyjne wizyty, winszując znakomitej satyry, gdzie Kandyd, zamiast siebie, ujrzał Jędrzeja, Jędrzej Piotra, Piotr Błażeja. Dopiero kiedy Jaś zaczął zgadywać, kogo przedstawia

http://rcin.org.pl

własny jego portret: Stasia, Piotra, Ambrożego czy Kazimierza, doprowadzony do ostateczności, zrozpaczony satyryk, zadraśnięty może trochę w autorskiej miłości własnej, „Kogom ukrył — wrzasnął — chcesz wiedzieć? — ot, ciebie!“ Napróżno jednak, gdyż Jaś nie uwierzył, pomimo uroczystych zapewnień i zaklęć. Zgnębiony satyryk dochodzi do wniosku, że „satyr pisać nie warto“.

Dodajmy, że utwór Siwińskiego, szczególnie przy wyszydzaniu pseudouczoności Kandyda, roi się od nazwisk Humboldta, Fultona, Stephensona, Liebiga, Maksa Müllera, Malthusa, nie mówiąc już o Talmudzie, Zendaweście, Herostracie, Varronie, Schwartzu i Arago. „Rozwód Aryi z Socynem, ślub Łokietka z Boną“, są również kwiatkami zbłąkanej na bezdrożach erudycyi Kandyda. „Jak się nie można żenić, gdzie wiele panien w domu“ jest najsłabszą satyrą Siwińskiego. Błahe i powierzchowne motywy z towarzyskiego życia zostały w niej licho wyzyskane. „Próba uczty bogów“ jest dosyć niesmaczną offenbachiadą, wykonaną przytem słabo. Wcale niedowcipne, zatrącające nawet niekiedy brukowym humorem, „fraszki“, jak również toasty, mogły były zostać z pożytkiem

http://rcin.org.pl

usunięte z książki. Na zakończenie powiedzmy jeszcze słów parę o owej jedynej w zbiorze Siwińskiego karcie, owianej tchnieniem poezyi. Złożyły się na nią trzy utwory: sonet „Bez pożegnania“ i liryczne wiersze „Nad morzem“ i „Godziny dumania“. Piękne te fragmenty bezwarunkowo do działu poezyi zaliczyć nam wypada.

Zaleca je duża głębia skoncentrowanego uczucia, szczerość, prostota, melodyjność i wcale ładna forma. Przejmującym doprawdy jest beznadziejny smutek poety i żal, którego morze nie zdolne zagłuszyć szumem, a nawet rykiem, wzrusza nas tęsknota po ukochanej i tragiczna niemożność modlitwy do Boga, u którego poeta chciałby „wybłagać choć chwilę spokoju“... Ciernistą była podobno i stromą życiowa ścieżka tego nieszczęśliwego człowieka. Jeżeli w pośmiertnej tece Siwińskiego znajduje się więcej podobnych kartek, wartoby je wydostać z ukrycia. Poszanowanie języka widoczne u autora na każdym kroku. Błędy trafiają się nadzwyczaj rzadko („Zagłuszyć taki żal, o morze! nie masz sił“, zamiast: „zagłuszyć takiego żalu“ i t. d.; „Amor złączył naraz dwie pary, dwie panny i dwa smyki“, zamiast: „dwóch smyków“). Forma niewyszu-

http://rcin.org.pl

kana, ale staranna, rymy zwyczajne, niekiedy zaniedbane. Ryciny prof. Wojciecha Gersona zupełnie ładne, a portret zmarłego Siwińskiego bardzo piękny i podobny.

---

http://rcin.org.pl

Marya Komornicka.

❀

Jestto jeden z nadzwyczaj rzadkich, indywidualnych duchów kobiecych, obdarzonych bolesną świadomością tragizmu kobiecości, w najgłębszem znaczeniu tego wyrazu, — przejmującej tragedyi „wieczyście kobiecego“ (das ewig weibliche), rozgrywającej się od praepok ludzkości w Gehennie życia, wstrząsającej tajemniczą grozą daleko bardziej od tragedyi proletaryatu i od Ahaswerusa nieszczęsnego narodu żydowskiego.

Tragizm kobiecości, według nas, polega na łagodzonym przez wzajemny interes płciowy, religię, sztukę, poezyę, kulturę, wreszcie przez ustrój społeczny i ekonomiczny, kult rodziny i zwyczaje towarzyskie antagonizmie płci, będącym głuchą świadomością istoty stosunku kobiety-samicy do mężczyzny

http://rcin.org.pl

i demonicznej roli, jaką niezaprzeczenie odgrywa w przyrodzie kobieca część ludzkości względem męzkiej. Kobieta względem mężczyzny jest szatanem-kusicielem, sfinksowo tajemniczą emisaryuszką przyrody, a raczej jej instynktu rozrodczego. Pomimo pozornej naiwności, niewinności, zdziwienia, kobieta jest zawsze daleko bardziej od mężczyzny świadomą istotnych celów przyrody — mistyfikatorki, iluzyonerki.

Zadalekoby nas zaprowadziło rozwijanie wypowiedzianych dopiero co myśli. Przypomnimy tylko, że jeszcze Platon w starożytności zdawał sobie sprawę z antagonizmu płci i że współczesna arystokracya duchowa, co do demonizmu pierwiastku kobiecego w naturze i w ludzkości, coraz bardziej zaczyna być uświadomioną. Rosyjski socyolog i filozof Michajłowskij, w genialnym szkicu „Walka o indywidualność", Leon Tołstoj w „Kreuzerowej sonacie", Ibsen, Strindberg, Arne Garborg, Przybyszewski, a za nimi cała falanga pisarzy ostatniej doby, rozpoczęli formalną krucyatę przeciw kobiecie-samicy, jakich są miliony. Naturalnie, że liczne tysiącolecia specyalnego treningu kobiety na tak zw. żonę i matkę, i nietylko przystosowywanie się do najniższych instynktów mężczyzny, ale jeszcze rozbudzanie w nim nowych,

http://rcin.org.pl

zdeprawowały kobiecą ludzkość daleko bardziej od męzkiej. Cała Gehenna kłamstwa, obłudy, najniższych popędów, wyje poprostu, mniej lub więcej przyduszona, w przeciętnej kobiecie. Każda kobieta ma w sobie coś fałszywego, kociego. Zaokrąglenie członków ciała, jak również t. zw. rozkoszne przeciąganie się, zbliżają kobietę nawet powierzchownie do kota.

Otóż ten tragizm kobiecości uświadamiają sobie nadzwyczaj boleśnie szlachetniejsze, podnioślejsze i wogóle czystsze, indywidualne duchy kobiece. Cofają się one z mimowolnym wstrętem przed tą potępieńczą otchłanią, Gehenną deprawacyi, trwającej od praepok ludzkości, a myśl, żeby kobieta miała być tylko narzędziem rozkoszy mężczyzny i maszyną do rodzenia dzieci, napełnia dumne ich serca człowiecze grozą i rozpaczą. Są to oburzone, zbuntowane anioły, istotne emancypantki w najszlachetniejszem znaczeniu tego wyrazu (nie rozczochrane studenckie czupiradła, wypchane sieczką frazesów z Milla, a łapiące sobie mężów pomiędzy „kolegami“). Są to dusze kobiece, dążące świadomie do wyzwolenia fizyologicznego i psychicznego, do zduszenia w sobie zwierzęcia, a raczej całej menażeryi zwierząt, do niepodległości duchowej.

http://rcin.org.pl

Ale cóż, kiedy i one kapitulują w końcu, poddają się gnuśnie, ukorzone pokornie przed t. zw. prawami serca, przed... das ewig männliche, powracają ciche i potulne do tej męzkiej, że się tak wyrazimy — Kanosy. Kowalewska, Baszkircewa, a w ostatnich czasach Marholmowa (obecnie zdaje się pani Ola Hansonowa), po męczących szamotaniach i duchowych rozterkach, uznały, że najgłówniejszem, a kto wie, czy nie jedynem przeznaczeniem kobiety jest kochać, być kochaną i mieć dzieci, i ukorzyły się z uległością haremowych niewolnic przed jedynym kobiecym dogmatem, którym jest mężczyzna. Niesmaczną jest nawet pewna zaciekłość, z jaką świeżo na katolicyzm i na wiarę w mężczyznę nawrócona Marholmowa w ogłoszonych niedawno wyznaniach oplwała wszystkie swoje dawniejsze wierzenia i ideały.

Marya Komornicka, której różową, podłużną (coraz bardziej upowszechniający się kształt modernistycznych wydawnictw, trzeba przyznać, że bardzo wdzięczny i gustowny) broszurę poezyj prozą [1]) mamy przed sobą, jest właśnie jednym z takich zbuntowanych aniołów, będących na drodze do na-

[1]) Marya Komornicka: „Baśnie i psalmodye". Warszawa, 1900.

http://rcin.org.pl

wrócenia, jeżeli już nie nawróconym. Jak to widać z jej poprzednio wydanej książki p. t. „Szkice“ (coś pod względem formy łamiącego się pomiędzy powieścią a poematem, jak „Dzieci szatana“ Przybyszewskiego), jest to wybitna kobieca indywidualność, pokrewna Baszkircewej i Kowalewskiej. Tomik ten szkiców powieściowych pochodzi z jej epoki Sturm und Drangperiode, widocznie, kiedy była jeszcze bardzo młodą, może nawet podlotkiem, w każdym razie owianym on jest dziwnym czarem entuzyazmu i zapału.

Nieopisany urok, jaki na nas w swoim czasie wywarły „Szkice“, przypisujemy przedewszystkiem tej okoliczności, że w czasie ich tworzenia w autorce, jak się to zwykle mówi, „nie zbudziła się jeszcze kobieta“ (jest to dla nas najniesympatyczniejsze ze wszystkich „zbudzeń“). Takie tam jeszcze wszystko pensyonarsko-entuzyastyczne, uduchowione, gwiazdami młodzieńczości rozjaśnione! Poetka wydawała się nam wtedy jakąś zaklętą księżniczką, śpiącą królewną z baśni...

Pisząc w roku zeszłym o Bogusławie Adamowiczu, zaliczyliśmy Komornicką do typu poetów mistycznych (Poe, Baudelaire, z nowszych Maeterlinck, Strindberg, Przybyszewski). Nie chcąc się powtarzać, nie bę-

http://rcin.org.pl

dziemy tłómaczyli, co rozumiemy pod powyższem określeniem, lecz odeślemy chcących się poinformować czytelników do artykułu o Adamowiczu. Zresztą same podane tutaj w nawiasie nazwiska powinny poniekąd zastąpić szczegółowsze definicye. Szczególnie końcowe z tych nazwisk, a mianowicie Przybyszewskiego, o którym ostatniemi czasy wypowiedziano tyle najsprzeczniejszych, a prawie zawsze niekompetentnych sądów w naszej prasie (jedyna może dosadna, zwięzła i jędrna charakterystyka, zamieszczona przy końcu r. z. w „Głosie“ p. t. „Stanisław Przybyszewski“, stanowi dodatni wyjątek w tej powodzi pustych frazesów), szczególnie więc, powtarzamy, nazwisko Przybyszewskiego nasuwa się nam na myśl, kiedy chcemy sobie zdać sprawę, komu najbardziej ze współczesnych poetów jest pokrewną indywidualność Komornickiej. Zbyt byłoby pochlebnem dla Komornickiej zestawianie, a raczej stawianie jej w jednym rzędzie, z tak wielkim i sięgającym najwyższych szczytów uświadomienia artystą, jakim jest Przybyszewski. To też zastrzegamy się, że piszemy tylko o pokrewieństwie indywidualności, nie zapominając ani na chwilę o potędze i głębi otchłannie, gehennowo tragicznej jaźni Przybyszewskiego, jako też o jej

http://rcin.org.pl

ogromnych rozmiarach. Jest to niezawodnie poeta europejskiej miary. Nie da się jednak zaprzeczyć, że istnieje pewne dalekie pokrewieństwo między „Dziećmi szatana“ np. a „Szkicami“, między demonicznie wykrzywioną i strasznie rozświeconą krwawą łuną piekieł duchową twarzą Przybyszewskiego, a takim np. „Buntem anioła“ i innemi jeszcze poezyami Komornickiej.

Sięgając do przeszłości poezyi naszej, nie mówiąc już o Krasińskim i mistycznej prozie Słowackiego, w których rozczytanie się niezaprzeczenie znać na wszystkiem, co pisze Komornicka, jedna jaśnieje gwiazda, niedoceniona jeszcze dotychczas przez naszą krytykę, która obok trzech wielkich słońc naszej poezyi, postawioną być winna—potężna i nadzwyczaj oryginalna kobieca indywidualność o szerokim, rozległym filozoficznym horyzoncie i bezdennej głębi sfinksowej tajemniczości, której szlachetny, gorący entuzyazm dla wszystkiego, co niezbadane, wzniosłe i szczytne, której wreszcie jaźń zagadkową i dziwnie pociągającą, pokrewną jaźni Poe'go i współczesnych mistyków, swoim entuzyazmem i pewnemi rysami indywidualności przypomina Komornicka. Mamy naturalnie na myśli genialną autorkę „Poganki“ Narcyzę Żmichowską (Gabryelę), o której kobietach

http://rcin.org.pl

słusznie niedawno napisała w „Ateneum“ p. Krzymuska, że, powołując je do życia, Gabryela miała przeczucie kobiet Ibsena, czyli że duchowo znacznie wyprzedziła swoją epokę.

Przechodząc do oceny „Baśni i psalmodyj“, powiedzmy odrazu, że wogóle zawiodły one nasze oczekiwania. Przyznajemy, że nie tego spodziewaliśmy się po tym trochę demonicznym, zbuntowanym kobiecym aniele, który w niedawnej fazie swojej twórczości, w okresie burzy i prądu, wybuchnął namiętnym krzykiem gniewu, entuzyazmu i oburzenia. Szczerze wyznajemy raz jeszcze, iż żal nam dawnej Komornickiej, autorki „Szkiców“ i poezyj, zamieszczanych przeważnie w „Życiu“ (za redakcyi Szczepańskiego), żal nam Komornickiej, jako trzeciej części słynnej grupy Laokoona, którą tworzyła przez czas pewien z Jellentą i Nałkowskim, wzywając w „Forpocztach ewolucyi psychicznej“ indywidualne, samotne w tłumie jednostki do zaciekłej obrony swoich duchowych skarbów przed bezdusznem filisterskiem otoczeniem. Nie czyniła tego, ściśle mówiąc, Komornicka literalnie (w „Forpocztach“ zamieściła obrazek dramatyczny i parę udatnych poezyj), mamy na myśli ducha, ożywiającego całą książkę, świa-

http://rcin.org.pl

tło, rozświecające alabaster całej, trzechczłowieczej grupy Laokoona.

W „Baśniach i psalmodyach“ widać przedewszystkiém pewne jakby znużenie, osłabienie siły twórczej. Wyczucie tragizmu kobiecości chwilami jest również potężne, jak w „Szkicach“ i wogóle w poprzednich poezyach Komornickiej, ale niema już w „Baśniach i psalmodyach“ buntowniczego, emancypacyjnego, w najgłębszem znaczeniu tego wyrazu, ducha, niema już tego entuzyazmu i oburzenia, jakie dawniej ożywiały poetkę (a z jakich, nawiasem powiedziawszy, przy talencie albo geniuszu, rodzą się właśnie dzieła wielkiej miary). Z zadumanej nad sfinksową zagadką duszy ludzkiej wogóle, a kobiecej w szczególności, szlachetnej entuzyastki, marzącej o kobiecych duchach, szybujących w gwiazdy narówni z męzkiemi, Komornicka stała się trochę nienaturalną, a chwilami nawet lubieżnie rozwydrzoną estetką, tarzającą się „w nagości swojej“ (ukuliśmy naprędce to wyrażenie, żeby się dostosować do biblijno-nietzscheańsko-aforystycznego stylu autorki) po kwiatach brutalnych zmysłowych wrażeń. Głębokie uświadomienie sobie tragizmu kobiecości dźwięczy rzeczywiście potężnie w najlepszej bezwarunkowo poezyi z całej broszury, w psalmodyi „Tęsknocie“

http://rcin.org.pl

i chwilami w psalmodyi „Do Pana". Szczególnie w ostatniej słychać przejmujące wołanie do Boga kobiecego Hioba z barłogu żądz ziemskich, ze „śmietnika brudnych nędz życia", tragiczne, bo bez nadziei wysłuchania do tronu Najwyższego wzniesione błaganie o wywyższenie kobiety duchem, o uszlachetnienie jej pragnień. Wpływ arcydzieła Krasińskiego, „Glossy św. Teresy", daje się tutaj niekiedy odczuwać. Chociaż św. Teresa wzdrygnęłaby się prawdopodobnie przed wypowiedzeniem chociażby takiego zdania: „Tobą jestem, Panie, albowiem stworzenie Twoje ukochałam bez granic". A podobnych zdań jest wiele, co nie jest zresztą wadą psalmodyi „Do Pana" — razi w niej tylko miejscami biblijny brzęk wyrazów.

W głębokiem uczuciem tętniącej, z przepełnionego boleścią, rozdartego serca płynącej, więc szczerej i beznadziejnie smutnej „Tęsknocie" za ukochanym mężczyzną, potężne znalazła ujście przedzierająca się przez zerwane tamy, długo hamowana kobiecość Komornickiej, może sztucznie powstrzymywana rozlewność jej serca, umiejącego kochać i tęsknić również potężnie, jak inne kobiece serca. Jakaż otchłań dzieli nawskroś indywidualną, dumną, zbuntowaną „Staszkę" ze „Szkiców,

http://rcin.org.pl

która po stracie ukochanego, po mężku strzeliła do siebie z pistoletu, od tej rozpłakanej, biegnącej za ukochanym, unicestwiającej się wobec wspomnienia o nim Ofelii z „Tęsknoty"! W pięknym tym utworze znalazła potężny swój wyraz abdykacya Komornickiej z dawnych buntowniczych ideałów i aspiracyj, wzruszająca nawet poniekąd kapitulacya kobiety wobec dominującego, chociaż dopełniającego ją pierwiastku męzkiego. W „Tęsknocie" widać miłość bezgraniczną i zupełne ukorzenie się kobiety przed mężczyzną. Ofelia z „Tęsknoty" wywiera przykre wrażenie duszy złamanej. Szczególną siłą zaleca się w tym niepospolitym bądź co bądź lirycznym wylewie końcowy wybuch rozpaczy po stracie ukochanego. Taniec szatanów i „żółtych czarownic" przy wściekłej muzyce wichru porywa rzetelną demoniczną grozą.

Jakże lichą parodyą dawnych marzeń Komornickiej o ponurym kobiecym demonie, o jakiejś sfinksowej nadkobiecie, jest niesmaczna, lubieżnie zmysłowa baśń „Andronice!" Jest ona przytem nieszczerą, na zimno robioną a nie w natchnieniu poczętą, melodramatyczną szopką. Pominąwszy już otchłań, jaka dzieli geniusz Ibsena od talentu Komornickiej, byłoby ubliżeniem dla

http://rcin.org.pl

takiej np. Heddy Gabler, Hildy z „Mistrza Solmessa“ i innych demonicznych kobiet ponurego geniusza skandynawskiej północy, zestawiać je z Andronice, która przecież jest demonem z baśni, podczas kiedy tamte mają być i są bądź co bądź bliższemi realnej rzeczywistości, chociażby jako „kobiety przyszłości“. Jakżeż operetkowym jest ten władca miasta Eropolis (słusznie tak nazwanego dla swej wszeteczności; nawiasem powiedziawszy, po wielkich miastach nie w baśni są ustronne dzielnice, mające podobne Eropolowi przeznaczenie), Gynajkofilos, czyli, mówiąc po turecku, poprostu kobieciarz, filozofujący na temat miłości zdechlaczek, coś pośredniego między królem Salomonem z operetki a jakimś zblazowanym gogiem z bulwarów paryzkich, albo też schnitzlerowskim Anatolem z wiedeńskich ringów. Jakżeż niemiłosiernie banalną jest owa demoniczna samica, kanibaliczna kobieta, której miłość zabija. „Andronice“, pomimo pewnych zalet kwiecistego, manierycznie biblijnego stylu, jest nadzwyczaj nieudolną próbą zilustrowania starej, jak świat, prawdy, że „mocna jest jako śmierć miłość“. W baśni swojej Komornicka nie liczy się zupełnie z fizyologią. Nawet w baśni obowiązuje pewna logika. Skąd w wyczerpanym

http://rcin.org.pl

fizycznie Gynajkofilosie mogło rozpłonąć aż tak namiętne, gwałtowne pożądanie Andronice? Wogóle w utworze Komornickiej dużo się mówi o „duchowem“ pożądaniu, my zaś tam, oprócz ciał, nic więcej nie mogliśmy dojrzeć. Przedewszystkiem postacie, indywidualności obojga kochanków, nadzwyczaj są marne. Oboje są piękni, dumni i nic więcej. O jego smakoszowstwie w pewnym kierunku świadczy chociażby zdecydowanie się na łażenie w obroży na łańcuchu, naturalnie na czworakach, za ukochaną przed ludem swoim. Jej zaś poczucie estetyczne w zupełności zadawala przyozdobienie komnat sypialnych zrana przez Gynajkofilosa zroszonem jeszcze, świeżem kwieciem, na co w ostateczności zdobyłby się dla swojej utrzymanki pierwszy lepszy błazen z naszej utracyuszowskiej arystokratycznej, czy plutokratycznej młodzieży. Andronice za to pozwoliła się pocałować królowi, gdyż „zachwycił ją pięknym uczynkiem“. Już chociażby okropnie zbanalizowane przez naszych dawnych powieściopisarzy wyratowanie w oczach ukochanej kogoś z pożaru, czy wyciągnięcie z wody lub wreszcie przyniesienie krokodyla... byłoby czynem daleko piękniejszym. Obraz nagiej Andronice, tarzającej się po kwiatach, wywarł na nas

http://rcin.org.pl

przygnębiające wrażenie tryumfującej, zwierzęcej kobiecości). Greckość tej baśni uderzająco nam przypomina „Piękną Helenę“ Offenbacha. Uscenizowana „Andronice“ mogłaby być wcale niezłem libretem do lekkiej operetki w klasycznym stylu. Co się zaś tyczy bombastycznej biblijności baśni Komornickiej, to chwilami szanowna autorka sprawia wrażenie, jakby się znużyła długiem staniem na koturnach.

Schodzi z nich tedy z całą swobodą i świadomie kpi z siebie i z oszołomionych czytelników, wygłaszając takie np. biblijne aforyzmy: „Zadrżał król w nudzie swojej“ (kolossal!), albo „Pij więc i zaniechaj grzesznej myśli swojej“ (powiada „niewiasta“ do Gynajkofilosa — kobieciarza, kiedy tenże chce ją pocałować) i inne w tym rodzaju. Megalomania kobieca autorki znalazła swój wyraz w zdaniu: „Albowiem królową winna być każda niewiasta“. Jest to zresztą wzruszająca pozostałość dawnych pensyonarskich marzeń Komornickiej o podniesieniu kobiety duchem.

Baśń jest jednym z najtrudniejszych rodzajów poezyi. Ogromnie łatwo tutaj jednem zdaniem, jednym wyrazem zepsuć cały nastrój, a nawet ośmieszyć całość. Nigdzie, jak w baśni, nie sprawdza się tak przez częste użycie zba-

http://rcin.org.pl

nalizowane powiedzenie Napoleona, że „du sublime“... i t. d. Od baśni też wymagamy słusznie pewnej szczypty logiki i prawdopodobieństwa. Są to wszystko znane historye, których poprostu nie chce się nam powtarzać. Zapewnienie Komornickiej na samym początku baśni o „Ojcu i córce“, że kiedy straszny smok-ojciec z „bezbrewemi i lodowo zimnemi oczami“, więżący w zamku swoim cudną Allę, kiedy ten olbrzym-czarownik na „wysokim karym koniu ukazywał się na skraju puszczy, niby sam duch ostępów“ — „dzieci uciekały z drogi krzycząc, żydzi złazili z furmanek i kryli się po rowach“—zapewnienie to nietylko nie budzi w nas uczucia grozy i poszanowania dla potęgi bajecznego papy, ale ośmiesza w oczach naszych całą baśń. Wizya legendowa, senne marzenie pryskają w lodowem świetle sceptycznego uśmiechu. Toż samo ma miejsce w obrazie tanecznej sali, podczas wesela Alli, gdzie „pary wirowały w zamęcie, uderzając chwilami o siebie, łącząc się w koła, kółka, krzyżyki“, gdzie nas nagle owiewa atmosfera studenckiego baliku w niezbyt przestronnej mieszczańskiej bawialni, na jakich to balikach Komornicka, jeszcze za dobrych pensyonarskich czasów, zapewne nieraz dobrze się wytańczyła.

http://rcin.org.pl

W baśni „O ojcu i córce“ autorka usymbolizowała niejako wielowiekową niewolę kobiety pod uciskiem mężczyzny, więżącego jej ciało i duszę, wyzwolenie się przy pomocy uświadomionej kobiety (duch matki) i wynikłe z tego szczęście. Ale cóż, kiedy tyran-ojciec-mężczyzna po śmierci, jako upiór, powraca, żeby zagarnąć na nowo córkę pod swoje panowanie (śmierć Alli). W baśni tej, również jak w psalmodyi „Tęsknocie“, jak zresztą w całej ocenianej przez nas książeczce Komornickiej, wyraziła się kapitulacya poetki wobec mężczyzny, ukorzenie się jej... przed das ewig männliche, zupełne skwitowanie z dawnych emancypacyjnych wierzeń i ideałów. Słabą jej stroną jest chaotyczność, niejasność, mglistość i nieprzejrzystość symbolu. Myśl przewodnią baśni poetka sprowadziła na manowce. Przedewszystkiem, dlaczego tyranizującym Allę mężczyzną jest jej ojciec, a nie mąż właśnie lub kochanek? Gdyby tak było, daleko jaśniej tłómaczyłaby się tendencya emancypacyjna Komornickiej. A powtóre, owa pełna chórów anielskich, mistyczna kraina, dokąd pod nieobecność smoka-ojca zmarła matka porywa Allę, ogromnie została przez autorkę sprofanowaną przez szał bachiczny uczty, jakiegoś oblubieńca, oczekiwanie na tegoż Alli

http://rcin.org.pl

w sypialnej komnacie, i t. p. delikatesy. Pierwotnie nam się zdawało, że Alla została wyzwoloną przez matkę nietylko z pod tyranii mężczyzny-ojca, ale także z jarzma zwierzęcości, że została ona uduchowioną. A tu masz ładne uduchowienie! W baśni tej jakby świadomie symbol został zaciemnionym przez Komornicką.

O ile baśnie są sztuczne, wymuszone, robione i nieszczere, o tyle znowu psalmodye są płodami prawdziwego natchnienia, wypłynęły one widocznie wprost ze znękanego serca poetki. O „Tęsknocie“ i „Do Pana“ pisaliśmy już wyżej. I psalmodyę „Pan kona“ zalecają również dające się w niej słyszeć szczere, liryczne akcenty. Początkowy obraz Chrystusa, konającego na krzyżu, urasta w następstwie do olbrzymiego symbolu współczesnego świata, w którym Bóg zdaje się konać, do symbolu wreszcie myśli krytycznej ludzkiej, rozpiętej na krzyżu cierpień. Afektowany trochę styl biblijny, przeszkadza nieraz szczerym lirycznym wylewom, nie pozwala wyładować się czystemu uczuciu poetki. Razi w niej chwilami niemiła, a nawet komiczna poza na rozdzierającego szaty Jeremiasza, z otchłani, Gehenny cierpień swoich urągającego Bogu Hioba i t. p. Język i styl Komornickiej zalecają się obrazowością. Nie-

http://rcin.org.pl

które wizye jej twórcze—na długo pozostaną nam w pamięci. Jest to talent modernistyczny, nastrojowy. Takie stimmungi, jak np. owo ognisko z gałązek, dogasające nad wodą,—są istotnie piękne. Szkodaby było tego płomiennego, rozwichrzonego talentu, tej oryginalnej kobiecej indywidualności, tego oburzonego, zbuntowanego anioła, gdyby miał kapitulować zupełnie i skwitować z dawnych potężnych, szlachetnych aspiracyj; szkodaby było tej entuzyastki, indywidualistki, emancypantki w najgłębszem znaczeniu tego wyrazu, gdyby miała już na zawsze ukorzyć się przed mężczyzną, gdyby miała się zmarnować na odtwarzaniu grubych zmysłowych wrażeń („Andronice"). Szkodaby nam było jej pięknej, zbuntowanej duszy. A jednak Baszkircewa, Kowalewska, Marholmowa wreszcie, nasuwają nam ponure refleksye. Otrząsamy się z nich jednak. Chcemy wierzyć, że „Baśnie i psalmodye" są u Komornickiej chwilowem, przejściowem twórczem omdleniem.

---

http://rcin.org.pl

Agi Wdaj.

Agi Wdaj... [1]) Turecko-chińskie, a w każdym razie ogromnie egzotyczne brzmienie pseudonimu, trochę pretensyonalna informacya wydawnicza na tytułowej karcie: „Składy w znaczniejszych księgarniach krajowych i zagranicznych“, niewskazanie miejsca wypuszczenia w świat książki, o której wiemy tylko tyle, że została wydrukowaną w Łodzi—cały ten aparat mistyczny nęci pewną demonicznością, targa duszę najbardziej oschłego krytyka pragnieniem rozwiązania nasuwających się tysiącznych pytań i wątpliwości, a mianowicie: co ma oznaczać ów szalony, prawie psychopatyczny pseudonim „Agi Wdaj“? Jaką jest dusza autora? Czy to kobieta, czy mężczyzna? Jeżeli kobieta,

[1]) Agi Wdaj. „Strofy.“ Łódź, 1899.

http://rcin.org.pl

czy jest blondynką, a jeżeli mężczyzna, to—czy jest smutny? Gdzie właściwie została wydaną książka?

Z rozpaczy przychodzi nam do głowy waryacka myśl odczytania nawywrót kabalistycznego wyrazu Agiwdaj (Jadwiga) i... tajemniczość, demonizm pryskają, jeżeli nie w całym swoim ogromie, to w każdym razie w znacznej części. Wiemy już, jako poeta jest rodzaju żeńskiego, że mu na imię Jadwiga, że mieszka przypuszczalnie w Łodzi, że może jest żoną, albo córką, albo wreszcie siostrą jakiego króla lub księcia bawełnianego. Łódź i poezya, bawełna i Helikon z wieńcem uśmiechniętych muz, tkackie turkoczące warsztaty i złotostrunna lutnia Apollina — pojęcia te dziwnie nie pasują do siebie...

O ile zewnętrzne, że się tak wyrazimy, akcesorya zbioru poezyj pani czy panny Jadwigi, ukrywającej się, jak Izyda, za nieprzemakalną zasłoną tureckochińskiego kryptonimu, dają dużo do myślenia swoją sfinksową tajemniczością, o tyle treść samych wierszowanych produkcyj już jest o wiele mniej mistyczną. Modernizmu, nowych, nieznanych dreszczów duszy, świeżego tchnienia najnowszej poezyi, nie szukajmy w tajemniczym tomiku p. Jadwigi, bo ich tam nie znajdziemy. Nie znajdziemy tam również nowej, oryginalnej

http://rcin.org.pl

indywidualności artystycznej, któraby przed naszemi oczami odkryła nanowo świat, nie znajdziemy duszy twórczej, przez którą, jak przez pryzmat tęczowy, moglibyśmy ujrzeć naturę, wszechświat, ducha ludzkiego w innem zupełnie, niż dotychczas, świetle. Wogóle p. Jadwiga nie jest zdolną odsłonić przed nami nowych, nieznanych horyzontów życia, idei, fantazyi, marzenia. Światopogląd społeczny i filozoficzny przeciętnie inteligentnej kobiety z mieszczaństwa, która ukończyła trochę lepszą pensyę, a później „uczyła się w domu literatury i dużo czytała."

Z poezyj autorka czytała przedewszystkiem dużo Konopnickiej. Konopnicka, ale ta dawna Konopnicka, z epoki smętnego monologowania wobec niemych błękitów, piorunowania na stosunki społeczne („Jaś nie doczekał", „Przed sądem", „Chłopskie serce"), pisania recept na kobiety („Do kobiety"), wywarła na panią Jadwigę wpływ przemożny. „Jehowah" np. jest nieświadomem przedrzeźnianiem filipik, wymierzonych przeciw Bogu, a taki wiersz „Do mężczyzny" jest już wprost świadomem naśladownictwem powszechnie znanej społecznikowskiej bomby pani Maryi. Jednem słowem Konopnicka filozofująca i społecznikująca wpłynęła ogromnie na p. Agiwdaj, która w niemałej więk-

http://rcin.org.pl

szości swoich utworów jest przeważnie naśladowczynią, słabem tylko echem.

Z obcych poetów autorka „Strof" musiała się rozczytywać w Wiktorze Hugo, Musset'cie, którego wypiłowany na mieszczańskich rautach przez wszystkie chyba nasze deklamatorki klejnot-poezyę „Rappelle-toi" wcale nieźle nawet przełożyła. Miejscami dosyć udatny poemacik „Z wojennych motywów" (szczególnie zalecamy obraz dziewczyny, klęczącej w noc ciemną, rozwidnioną krwawą łuną pożaru zdobytego miasta, na balkonie z załamanemi rękami wobec tragicznej grozy masowego mordowania zwyciężonych, hańby, która ją czeka i ochrypłych krzyków pijanego, rozpasanego żołdactwa) powstał wyraźnie pod wpływem „L'année terrible", a jeszcze więcej może antimilitarnych poezyj Ludwiki Ackerman.

Artystycznej indywidualności tedy p. Jadwiga nie posiada. Jakąż więc jest jej jaźń, jako kobiety niezaprzeczenie inteligentnej, obywatelki? Albo jeszcze lepiej spytajmy, jaką jest geneza twórczości p. Agiwdaj. Od dalszych wywodów powstrzymała nas na chwilę obawa, żeby nas rozwściekleni autorzy (les auteurs enragés) nie nazwali znachorem krytyki (tak jak śp. Au. Wi. sam siebie nazywał „chirurgiem filozofii), owczarzem, który z włosów i „wody" roz-

http://rcin.org.pl

poznaje nietylko płeć odległego pacyenta, ale i chorobę. Wspomniawszy sobie jednak na Emila Hennéquin'a i jego esto-psychologiczną metodę krytyki, polegającą na odgadywaniu duszy autora z jego dzieła, które to odgadywanie jest niczem innem, jak właśnie takiem psychologicznem znachorstwem, jedziemy dalej.

Jakąż więc jest, powtarzamy, geneza twórczości p. Jadwigi? Gdybyśmy chcieli być złośliwi, moglibyśmy wobec wielu zupełnie słabych i lichych wierszydeł w jej tomiku powiedzieć, że genezy twórczości należy przedewszystkiem szukać w dużej ilości czasu, jaką rozporządzała autorka. I twierdzenie to nie byłoby pozbawionem pewnej dozy słuszności. Moglibyśmy je nawet zilustrować przykładem, próbując dociec źródła powstania chociażby takiego wiersza „Skazana". Wystawmy sobie p. Agiwdaj, siedzącą bezczynnie w swoim średnio-mieszczańskim saloniku. Mąż poszedł do kantoru (więc jest mężatką? nie, stanowczo w owczarstwie przeszliśmy tym razem samego siebie!) Autorka „Strof" gryzie pióro, poszukując w myśli tematu do nowego wiersza. W saloniku panuje trochę afektowany artystyczny nieładzik. Dużo japońskich wachlarzy, pianino, pośród wachlarzy, jak fijołki, kryją się fotografie, na in-

http://rcin.org.pl

nych ścianach wiszą wcale jeszcze znośne oleodruki („Chrzestna matka" i inne podobne), pomiędzy niemi „Skazana", również oleodrukowa kopia powszechnie znanego obrazu Rossowskiego. Wzrok zadumanej mieszczki pada na ten ohydnie zbanalizowany przez częste użycie oleodruk i p. Jadwiga popełnia okropnie banalny, lichy wiersz, będący wyraźnym rymowanym komentarzem do wspomnianego obrazka. Jak w tej wierszowanej elukubracyi, tak zresztą i w wielu innych, jej podobnych, niemile nas uderza specyficzny mieszczański liryzmek i budzi prawdziwy niesmak ogromnie ckliwy, specyalnie kobiecy sentymentalizmek. Prawie wszystkie utwory p. Agiwdaj są lirykami o charakterze przeważnie egotycznym.

Ale zato, kiedy p. Jadwiga pojechała z mężem w lecie na parę tygodni do Ojcowa (do Zakopanego muszą stanowczo oboje wybrać się w przyszłym roku—a Włochy... ach, Włochy! Alpy i Szwajcarya! o nich marzy p. Agiwdaj od dzieciństwa...), szlachetnych artystycznych aspiracyj pełna, więcej nawet powiemy, artystyczna jej dusza nie mogła nie reagować na czar górskiej przyrody, czemu zawdzięczamy wcale ładne, prostotą swoją i szczerością chwytające za serce „Ojcowskie

http://rcin.org.pl

echa". Wracając do genezy twórczości p. Jadwigi, stawiamy bardzo prawdopodobną hypotezę, że bodźcem, który ją zniewolił do pisania wierszy i poezyj, była nieszczęśliwa miłość. Bywa to bardzo często u mężczyzn - poetów, a cóż dopiero mówić o kobietach! Zranione boleśnie serce kochającej głęboko i prawdziwie kobiety buchnęło krwią gorąco odczutych, drgających bezgraniczną miłością liryk. Dużo serca, głębokiego a sponiewieranego przez życie uczucia kryje się w takich erotykach, jak „Sfinks", „Przybądź", „Bądź pozdrowiony!", „Nie znasz mnie", „Tyś mi rzekł", „Jego miłości", „Wierz!", „Módl się ty za mnie" (świadome naśladowanie Krasińskiego) i w. innych. Płacze w nich złote serce kochającej kobiety, która przebacza ukochanemu nawet to, że ją odtrącił i żegna go błogosławieństwem. W dziale erotyków p. Agiwdaj uderzająco nam przypomina miłosne poezye Adama M-skiego („Cichą", „Tęskną" i inne), tylko że tamte bez porównania są bardziej skoncentrowane i piękniejsze. Erotyki p. Jadwigi, chociaż rozszlochane prawdziwym bólem, nie wnoszą—niestety—do poezyi nic nowego. Toż samo da się powiedzieć o całym szeregu dość udatnych jej poezyj z innych działów (***, „O boska pieśni!", „Na wyżynach", „Duchu,

http://rcin.org.pl

czyś skonał?", „Chciałabym", „Bohdanowi Zaleskiemu", „Anioł smutku" i inne), których dla braku miejsca wszystkich wymienić nie jesteśmy w stanie. Widać z nich, że mamy do czynienia z kobietą z mieszczaństwa, dość inteligentną, dobrą, o szlachetnych społecznych aspiracyach, chociaż mało uświadomioną społecznie, filozoficznie i artystycznie, która się dusi w stęchłej atmosferze, pragnie powietrza, światła, szerszych horyzontów ducha i myśli. Jestto jednak wzruszającem, jak wiele dusz naokoło nas dławi się i szlocha w ciasnych obrożach codzienności. Życie jest właściwie niczem innem, jak straszliwą katownią dusz, piekłem, które ujrzał w niem, t. j. w życiu, genialnie Strindberg. Język poezyj Agi-Wdaja wogóle dość poprawny, forma wogóle mało wytworna, po większej części nawet bardzo zwykła. Rymy trafiają się takie, jak „dzikszy — zawichrzy", albo i gorsze jeszcze. Druk i korekta dość staranne.

---

http://rcin.org.pl

Władysław Sterling.

Od lat kilku w naszych pismach pojawiają się z powyższym podpisem poezye i wiersze bardzo nierównej wartości. Pamiętamy jeden z pierwszych utworów p. Sterlinga, zatytułowany w ocenianym przez nas tomiku [1]) „Sonet platoniczny“, gdzie poeta porównywa gwiazdkę do „światełka z wieży“, a w końcu woła do ukochanej: „O! gdybym stał się niebem i gdybym na siebie narzucił brylantami tkany płaszcz olbrzyma, iłużbym wówczas ciebie pochłaniał oczyma!“ Dziwna świeżość, zapał młodzieńczy, senne marzenie, cechują niektóre istotnie piękne, oryginalne poezye p. Sterlinga. W tęczową krainę baśni, marzenia,

[1]) Władysław Sterling. „Poezye.“ I. Kraków, 1900.

http://rcin.org.pl

przenosi nas najładniejszy ze wszystkich dotychczasowych utworów młodego poety — sonet p. t. „Łabędź". Złotowłosy królewicz zatęsknił „do porwanej mu zdradnie kochanki"; zwyciężywszy przeszkody, budzi zaklętą królewnę, śpiącą na „ciszą martwą ziejących krużgankach". „...Zbudził się łabędź, westchnął, poczuł wiosny drgnienia".... Białą piersią skruszył powłokę lodową, „a za nim lekko stado płynęło łabędzie..." Poeta zbudził pieśń, a za nią popłynęły inne pieśni, człowiek czynu powołał do życia czyn, a za nim rozgrzmiały inne piękne, wzniosłe czyny. Jak widzimy, symbol jest kryształowo przejrzysty i jasny. Nieopisany urok marzenia, świeżość kwiatów zroszonych o wiosennym poranku przenikają piękny ten sonet. Owa młodzieńczość, entuzyazm marzyciela, ukochanie przyrody, zwyradniają się niekiedy u p. Sterlinga w niemowlęce gaworzenie o „gwiazdeczkach", „kwiatuszkach", „aniołeczkach", rażące sztucznością, ckliwym sentymentalizmem i pewną jakby wymuszonością. Tęsknota „pękniętem gardziołkiem śpiewa smutno: biada!", gdzieindziej znowu słychać „pienia tych aniołeczków, co je rodzą kwiaty wiosenne", a świt im nóżęta obuwa w listki, „by nie były boso". Jest to nieco chorobliwie sentymentalne, a przede-

http://rcin.org.pl

wszystkiem nieszczere. Przytem zupełnie zbyteczną wydaje się nam troskliwość poety o nóżki istotek fantastycznych, małych elfów, chochlików, zrodzonych przez kwiaty. Nadprzyrodzone te aniołeczki mogą śmiało obywać się bez butów. Przesadzając w tym kierunku i rozczulając się bez końca, podniecając się sztucznie do łez, gotowiśmy się w rezultacie popłakać nad jaką bagatelą. Szczeremi i odczutemi poezyami są sonety: „Ból“, „Kołysanka“. W „Bólu“ woła poeta: „Gdzie tylko wzrok obrócę — tam mądrość jedynie: zgarbione chaty ludzkie, gdzie nigdy nie dnieje, światło na horyzontach i mrok na nizinie, zamrożone porywy, zwichnięte nadzieje“. Również gorąca, szlachetna myśl społeczna wybucha okrzykiem bólu z sonetu „Kołysanka“: „Tam wre życia zawierucha, pierś pierś dławi, duch prze ducha, karki siecze nędzy rózga, aż pod niebo pianą bluzga morze potu, łez i krwi... Śnij poeto, śnij!...“ Tylko, że gdyby p. Sterling nie śnił, bardzoby to źle się odbiło na jego poezyach. Sen, marzenie jakieś baśniowe, stanowią istotę jego indywidualności artystycznej, która, będąc bardzo sympatyczną i dość ciekawą, dotychczas jeszcze mglisto się zarysowuje.

http://rcin.org.pl

Skoncentrowaniu, skrystalizowaniu się indywidualności p. Sterlinga, jako poety, przeszkadza potężny, prawie wyłączny wpływ Tetmajera, jakiemu p. Sterling ulega. Bo posłuchajmy tylko, czy to nie Tetmajer się odzywa przez usta p. Sterlinga: „A tam z głębiny fioletowo-śniada, naga kobieta z wód zamarłych głuszy wypływa cicho i na brzegu siada. Poświetl jej srebrzy piersi i kolana. A ona sina, drżąca, zasłuchana, czeka, aż ranne słońce ją osuszy“ („Morskie oko w nocy“). Albo: „Czy srebrno-błękitna cisza czeka dziwnego przybysza na jakiejś nieskończonej, rozemglonej łące?“ („Hymn żałobny“). „Cisza wieczorna do stawu Smreczyńskiego“, jeden z najpiękniejszych wierszy, jakie p. Sterling kiedykolwiek napisał, mogłaby śmiało nosić podpis Tetmajera, tak uderzająco przypomina jego przepiękną „Melodyę mgieł nocnych“. Sonet „Śpiewakom Tatr“ jest znowu naśladowaniem powszechnie znanego sonetu Miriama: „Ty pierwszy miłość wonną fiołka, o smętny Szarzyński, wlałeś w czaszę Danta i Petrarki“ i t. d. „Las umierający“ powstał pod wyraźnym wpływem Kasprowicza, a nawet zakrawa wprost na naśladownictwo potężnych, panteistycznych wylewów tego ostatniego. Proszę tylko posłuchać, jak p. Sterling

http://rcin.org.pl

przedziwnie, do złudzenia „kasprowiczuje“: „Zatargał tobą wicher, o szumiący lesie — wicher z gwiazdą piorunną w rozpętanej grzywie — potrzaskał świerkom czoła, rozsypał igliwie. A ty stoisz radosny, o szumiący lesie?“ Nie możemy dość gorąco poradzić p. Sterlingowi, ażeby, jako poeta, dążył do odnalezienia samego siebie, ażeby usiłował dowiercać się do głębokich, tajemnych źródeł własnej duszy i ztamtąd dopiero wybuchał kryniczną, tęczową fontanną pieśni... Skoro się posiada własną, chociaż jeszcze nieskrystaloną indywidualność, trzeba się wszystkiemi siłami bronić przed złemi następstwami artystycznej wrażliwości, przed małpią właściwością ludzkiej natury, mianowicie mimowolnym, nieświadomym popędem do naśladownictwa. Po co np. parodyować niespożyte arcydzieło Edgara Poe („Milczenie“) i pisać pod tymże tytułem sonet, będący lichem, bladem przedrzeźnianiem pełnego tragicznej grozy tamtego nastroju? Czyż nie lepiej jest módz powiedzieć o sobie: „Mon verre est petit, mais je bois dans mon verre!“... (Alfred de Musset). Większość sonetów z cyklu „Drzewa“ wywiera na nas wrażenie, jak gdyby zostały napisane głównie po to, żeby sprawić przyjemność komuś, lubiącemu ogro-

http://rcin.org.pl

dnictwo. Przytem p. Sterling podchodzi do każdego drzewa ponuro zadumany, spowity w togę, już z góry powziętym zamiarem spłodzenia jakiegoś wzniosłego porównania. W każdym razie świeżość duszy, pewna wiośnianość, sympatycznie cechujące indywidualność młodego poety, wieją od tych sonetów, z których „Sosna“ i „Grab“ są najładniejsze. Niemile trochę razi zakrawające zlekka na wymyślanie zakończenie „Wierzby“: „głupi polski chłopie!“ Rozumiemy poczciwe intencye autora, ale wyrażenie to bez jego wiedzy nabrało charakteru jakiegoś urągania. „Klon“ wygląda tak, jakby p. Sterling umieścił w swoim tomiku kawałek „Sielanek“ Langego. Posłuchajmy: „Babie lato! babie lato! drzemie klon na martwej roli, snując złoto —popielatą przędzę cichej melancholii...“ Niezłym jest „Wiatr“. Nie mając miejsca na szczegółowy rozbiór poezyj p. Sterlinga z działu „Ex imo“, zaznaczamy tylko, że znać na nich, jak i na innych poezyach autora, wpływ Tetmajera. Bardzoby, naturalnie, pożądanem było, żeby się p. Sterling z pod tego wpływu wyzwolił i starał przedewszystkiem być sobą. Dotychczas najlepiej p. Sterling się czuje, najswobodniej się obraca, jest najbardziej szczerym i indywidualnym w krainie snu

http://rcin.org.pl

i marzenia. Potwierdzają ten nasz domysł, oprócz wymienionych, poezye: „List do przyjaciela“, gdzie pomimo jednego ciężkostrawnego wyrażenia („spacer po mojej własnej duszy“), mile chwyta za serce bolesna szczerość smutnej duszy marzyciela, „Szarytka“, gdzie poeta popada w marzenie, w którem szpitalne mury przemieniają się na pałac złoty, zakonnica w królowę tego pałacu, a chorzy w lud, który jej dłoni żebrze... W całej tej pięknej poezyi czuć nastrój zmierzchu i szarej godziny. Potwierdzają ten nasz domysł w dalszym ciągu: „Burza górska“ („złote ostrogi w świetle migocą“, „sto koni tłucze w srebrne kopyta“), „Bóg wiatru“ i „Nokturn“, poezye pełne czaru marzenia... Wcale ładne są „Hymny“, ale zadużo w nich rozumowania, mędrkowania, refleksyi przepalonego przez myśl krytyczną i analizę współczesnego mózgu, a zamało poezyi. Przytem, myśli, które tam wypowiada p. Sterling, nie są nowe. O ileż potężniej np. odmalowali w swoich dziełach demonizm kobiety i antagonizm płci Strindberg i Przybyszewski, niż to uczynił p. Sterling w swoim niezbyt szczerym „Hymnie do kobiety“. Utwór ten wygląda trochę na złożenie hołdu modzie, którą sam autor jakby uważał za chwilową i przemijającą. Przypo-

http://rcin.org.pl

mnijmy sobie „Wigilie“, „Dzieci szatana“, „De profundis“ Przybyszewskiego, a szczególnie jego studya o Munchu i Wigelandzie („Na drogach duszy“), gdzie Przybyszewski rzuca ponure, krwawe, ale, niestety, prawdziwe światło na istotę stosunku kobiety do mężczyzny. Wracając do przedmiotu i kończąc zarazem nasz artykuł, witamy w p. Sterlingu prawdziwy, szczery poetycki talent, po którym, gdy się wyzwoli z pod przemożnego wpływu Tetmajera, wielu pięknych, oryginalnych utworów spodziewać się mamy prawo.

---

http://rcin.org.pl

Zdzisław Dębicki.

—❖—

Charakterystyczną cechą naszych najmłodszych poetów, a przynajmniej ogromnej ich większości, jest nastrojowość, pociągająca za sobą pewne stłumienie dźwięków, któremi rozbrzmiewają ich lutnie. Trzeba umieć oderwać się zupełnie od otaczającego nas życia, zatkać sobie poprostu uszy na brutalne ryki szalejącej wokoło nas fali rzeczywistości, żeby módz wsłuchać się całą duszą w przytłumione tony naszej poezyi najostatniejszej doby, niby w cichutki płacz skrzypcowego pianissima, dochodzący z oddali w księżycowej nocy i w rozemdlonej ciszy.

Takim płaczem właśnie jest poezya p. Zdzisława Dębickiego, którego najświeższy tomik mamy przed sobą [1]).

[1]) Zdzisław Dębicki. „Noce bezsenne", poezye. Lwów, 1900.

http://rcin.org.pl

Zupełnie, jakby na strunach swojej lutni, pomiędzy któremi wiele jest strun Kasprowicza, Konopnickiej, a szczególnie Tetmajera, p. Dębicki świadomie położył tłumik, tak że z nich niekiedy ulata, jak woń dźwiękowa, cichutkie tylko brzęczenie... Poeta wywołuje w naszej duszy całe szeregi stimmungów rzewnych, miękkich, że nie powiemy jedwabnych. Wchłonął on w siebie haszyszowe, zabójcze wyziewy uświadomienia i sceptycyzmu współczesnego. Smutek, melancholia, anielska jakaś rezygnacya, cechują łagodne, rzewne poezye p. Dębickiego, lecz niema w nich apatyi, przesytu, niesmaku, zniechęcenia. Nieszczęsna dusza poety chwilami wybucha przyciszonem szlochaniem wiolonczeli. Jest to dusza z bardzo szlachetnego metalu wykuta, nic też dziwnego, że tłukąc się i szamocząc we wnętrzu czarnego dzwonu artystycznej indywidualności poety, wydobywa z niego stłumione, łzami nabrzmiałe, jakby kirem przysłonięte złote dźwięki. Smutek p. Dębickiego jest głęboki, szczery, niema w nim nawet cienia pozy, udawania. Jest raczej pewna szlachetna wstydliwość uczucia, nakazująca poecie tłumić, dusić w piersi płacz, przysłaniać dłonią twarz łzami zalaną. Świadomie kładzie on tłumik na struny swojej lutni nietylko dla wyśpiewywania z nich

http://rcin.org.pl

stimmungu, ale także dlatego, żeby nie płakały one zbyt głośno. Dużo wytworności, dyskrecyi, posiada w sobie p. Dębicki. W duszy poety niema miejsca na cynizm, drwinę, szyderstwo.

Cała połowa tomiku, pełna najczystszej, wprost z serca płynącej, zcicha rozszlochanej liryki, wzbogaciłaby niezawodnie naszą poezyę o sznur drogocennych pereł... gdyby wszystkie struny na lutni p. Dębickiego były jego własnemi. O świadomem naśladowaniu, wobec bijącej w oczy szczerości poety, nie może być mowy, ale p. Dębicki padł poprostu ofiarą, jak wielu jego rówieśnych braci po lutni, swojej artystycznej wrażliwości i przejął się ogromnie Kasprowiczem, a szczególnie Tetmajerem. Wpływ Konopnickiej dostrzegliśmy w najpiękniejszej niezaprzeczenie z całego zbioru poezyi „Nox vadit.“ Wynikiem zasłuchania się p. Dębickiego w czarowne, syrenie tony lutni wyżej wymienionych poetów, jest właśnie ta okoliczność, że mu się, pomimo jego woli, wplątują do śpiewu tamte dźwięki, trochę zmienione, bo daleko cichsze. Był czas, żeśmy sądzili, iż na lutni p. Dębickiego niema strun jego własnych i że owo przytłumienie tonu jest jedyną własnością, cechą indywidualną poety.

Że tak nie jest, że p. Dębicki posiada

http://rcin.org.pl

głęboko czującą własną indywidualność poetycką, którą wyżej próbowaliśmy zlekka naszkicować, dowodzą: „Nox vadit“, dział „Cis-moll“ i poezya prozą „Salve Regina“. Posłuchajmy przez chwilę „Nox vadit“: „Przez mazowiecką równię senną noc idzie srebrna, rzeźka, cicha, w dal idzie jasną i promienną, balsamem śpiących łąk oddycha“. A dalej: „Wiatr-giermek szatę niesie zwiewną, z przędziwa mgły wieczornej tkaną, za swoją panią i królewną, w cichy śpiew łąki zasłuchaną“... I jeszcze dalej: „Przez mazowieckich pól przestrzenie noc idzie cicha, srebrno biała, zdaleka koni słychać rżenie, ognisko łuną krwawą pała... Chłopców obsiadła je gromada, płynie fujarki tęskne brzmienie, cicho się noc posuwa blada przez nadwiślańskich łąk przestrzenie... Spętane konie skubią trawę, płomień syczący krwawo błyska, dym poszedł smugą na Warszawę, chłopcy coś gwarzą u ogniska“...

Pomimo widocznego wpływu ludowych poezyj Konopnickiej („Na fujarce“ i innych), który się pomiędzy innemi przejawia w hojnem szafowaniu przez p. Dębickiego srebrem i białością, daje się tutaj jednak zauważyć własne odczucie przez poetę rzewnego nastroju i nieopisanego uroku naszej księżycowej nocy nad Wisłą, jego młodzieńczy

http://rcin.org.pl

zapał dla wieczystego piękna przyrody. Po męce bólu i myślenia, znużona, przerafinowana dusza współczesna wypoczywa, oddycha całą piersią na łonie podobnej księżycowej, rozdzwonionej zcicha orkiestrą świerszczów nocy... Nawskroś indywidualne, charakteryzujące duszę młodego poety, jest porównanie naszej melancholijnej, smętnej nocy na nadwiślańskich równinach do bladej damy średniowiecznej, za którą wiatrgiermek niesie szatę powiewną, z mgieł utkaną... Porównanie moderne i bardzo szczęśliwe... Ta pani feodalna zupełnie harmonizuje z naszą nocą księżycową, z tajemnym szeptem nurtu wiślanego, z naszą poczciwą nadbrzeżną łozą i wikliną i, pomimo pewnego egzotyzmu, nie razi. A ci chłopcy, pilnujący spętanych koni na pastwisku i gwarzący przy ogniu z gałązek, są pod względem stimmungu wprost nieporównani! Czy nie przypominają wam oni, czytelnicy, podobnych u Turgenjewa („Bieżyn ług"), opowiadających sobie o strachach przy ognisku na łące?... Świadczy to nader pochlebnie o pięknej poezyi p. Dębickiego, że swoim nieuchwytnym, uroczym nastrojem, przypomniała nam tamto małe arcydziełko.

„Cis-moll" jest może najrzewniejszą pieśnią duszy poety, wygraną na kilku instrumentach, z których gra na skrzyp-

http://rcin.org.pl

cach i na fujarce najbardziej przypadła nam do serca. Pomimo pewnego wpływu Tetmajera, nad wyraz sympatyczna indywidualność młodego poety zarysowała się tu najwyraźniej. Jakaś bezbrzeżna tęsknota, cichy płacz w samotności ducha ludzkiego, skrzywdzonego i sponiewieranego przez życie, szlochają w urywanych akordach tej łzawej symfonii. „Słychać płacz skrzypiec... Z sianożęć woń płynie, kwiaty zemdlone w białych rosach stoją — skrzypce gdzieś łkają o cichej godzinie, a smutek falą w duszę spływa moją... Słychać płacz skrzypiec—daleki, daleki... Dziwna tęsknica bierze mnie w ramiona— bywaj mi zdrowa, dziewczyno, na wieki! Płacz skrzypiec cichnie, urywa się, kona“... A teraz posłuchajmy grania fujarki: „Rzewny fujarki głos po rosie płynie od dalekiego za rzeką pastwiska... Smutno w świetlicy samotnej dziewczynie, czoło gorące do okna przyciska“... A potem: „Zmilkła fujarka... Świt idzie w purpurze, przy oknie stoi w zadumie dziewczyna, w oczach jej świecą łzy srebrne, łzy duże, coś jej się marzy i coś przypomina“... Niewysłowione stimmungi. Powybieraliśmy najpiękniejsze ustępy, żeby się podzielić z czytelnikami lwią częścią estetycznej rozkoszy, jakiej doświadczaliśmy, wsłuchując się w te przedziwnie piękne poezye.

http://rcin.org.pl

To nie dziewczyna wcale tam płacze przy oknie, to płacze uciśniona, w więzieniu ciała zduszona, nieszczęśliwa dusza poety. Bezdenna głębia uczucia, chwytająca za serce prostota treści, przy wyrafinowanym wykwincie formy (pozornie zwyczajne czterowierszowe zwrotki), i nastrój tęskny, bezgranicznie rzewny i zarazem nieuchwytny, zalecają te cenne perełki. Mleczną rzeką z duszy poety wylała tęsknota i połyskuje. cicha w księżycu, owiana mgłami... W krajobrazie ukochał p. Dębicki prawie wyłącznie noc gwiaździstą i księżycową na równinie mazowieckiej nad Wisłą, z białą mgłą, stojącą nad łąkami... Przyroda żyje w poezyach p. Dębickiego. Jest w nich ogrom ciemnego powietrza, czuć świeży, chłodny powiew wiatru nocnego i bezdenną głębię usianego gwiazdami, księżycowego nieba...

Ogromnie szczerze się wypowiedział i może najbardziej odsłonił przed nami istotę swojej indywidualności, nieprzebrane skarby Sezamu ludzkiej duszy, młody poeta w przepięknym poemaciku prozą „Salve Regina". Czy to, że forma prozaiczna uchroniła tutaj p. Dębickiego od wszelkich wpływów, czy to, że niekrępowany wierszem, mógł nam ukazać tajemniczy kwiat świętych strumieni, księżycowy lotos swej indywidualności, dość, że w utworze tym

http://rcin.org.pl

poeta najbardziej jest sobą. Na fali marzenia do duszy poety napłynęły niejasne widma wspomnień dziecinnych...

Na cmentarzu przed wiejskim kościołem szumią odwieczne lipy i stoi gromadka ludzi z dziwną powagą w twarzach. W kościele, na wysokim katafalku, w dębowej, kirem obitej trumnie, spoczywa uśmiechnięty, siwiuteńki jak gołąb starzec w ułańskim mundurze, z krzyżem na piersi, na małej, czerwonej wstążeczce. Księża w żałobnych ornatach, z psałterzami w rękach, wychodzą z zakrystyi. Obok nich zakrystyan z kropielnicą i dwaj chłopcy w komżach. W kłębach błękitnego dymu kadzielnic widzi chłopczyna jasną postać w ułańskim mundurze, unoszącą się ku sklepieniu świątyni. Ach, ten dym, ten dym! Malec go zna dobrze z opowiadań dziadka. To dym armatni, bojowy, przyszedł zabrać z sobą starego żołnierza. Wspaniała wizya! Potężnie odtworzył poeta bolesny ryk organu kościelnego, rozpierającą mury świątyni pieśń rozłąki wiecznej: Salve Regina!

Na „Nocach bezsennych“ widać duży wpływ Kasprowicza, przez który jednak przebija smutna, sieroca indywidualność artysty i zupełnie uświadomionego, przez robaka sceptycyzmu toczonego współczesnego człowieka, który się czuje nad wyraz osamotnionym ze swoją melan-

http://rcin.org.pl

cholią i rozpaczą. Włóczy się on bez celu nocą po pustych ulicach wielkiego miasta, tej zimnej, obojętnej puszczy kamiennej, śród pustych szpalerów latarni gazowych. Ślicznym jest obraz różowego świtu, który, pomimo wszystko, budzi w poecie chęć do życia, i porównywanie wschodzącego słońca już to do świeżego, wiosennego pęku krwawej róży, już to do ognisto-krwawego, ogromnego serca świata.

W „Śmierci", pomimo wpływu Kasprowicza, który zresztą odbił się bardziej na formie poemaciku, niż na jego treści, ogromnie szczerze i wzruszająco wypowiedział p. Dębicki beznadziejny weltschmerz i ból życia. Czuć, że człowiek, który to napisał, musi cierpieć głęboko i strasznie. Z upragnieniem woła on śmierci, „bo niema dziś już nic na ziemi i na niebie—ni kochających serc, ni ukochanych lic, nic, nic, nic".—Słychać tutaj szlochanie nieszczęśnika, który z głową wspartą na rękach oddał się beznadziejnej rozpaczy... A prawdziwe cierpienie, prawdziwe łkanie ludzkiego udręczonego serca, będą zawsze budziły głęboki szacunek i współczucie.

Przygnębiający, ale, niestety, prawdziwy nastrój bezdogmatowej duszy współczesnej, odtworzył poeta w utworze „Bez Boga". Widać tutaj również wpływ

http://rcin.org.pl

Kasprowicza i Tetmajera (zauważyliśmy nawet jedno, mimowolnie użyte przez p. Dębickiego czysto kasprowiczowskie wyrażenie: „berło wszędzie wznosi noc"), ale płacze także w tej pięknej poezyi udręczona, stęskniona za jakąś wiarą, za jakąś pewnością, dusza współczesnego człowieka. Szalona, gorąca tęsknota do jakiegoś dogmatu, do uwierzenia w coś bez zastrzeżeń, bucha z tych znamiennych wierszy: „Bez Boga duch się wlecze mój, stęskniony tak za Bogiem, że gotów w cichych stanąć łzach przed Jego świątyń progiem"... A dalej: „Ale dokoła głucha noc fale swe ciemne toczy... W pomroce gdzieś się ukrył Bóg za mgłami, w nadobłoczy... Ale dokoła głucha noc—tylko się szatan śmieje i do zbolałych sączy serc okropną beznadzieję"... Na tem kończymy nasze sprawozdanie, sygnalizując pojawienie się w gwiaździstej konstelacyi najmłodszej naszej poezyi ogromnie dużo obiecującego talentu.

---

http://rcin.org.pl

Jerzy Żuławski.

„...my wszyscy jesteśmy tylko piórami w olbrzymiem skrzydle powszechnej duszy człowieczej i drżymy, gdy ono wiatr bije; w prochu i żwirze rozkrwawiamy skronie, gdy opuszczone i bezwładne po ziemi się wlecze. I tęsknimy, tęsknimy, tęsknimy bez końca za tym nierzeczywistym światem, który jest od wszystkich rzeczywistych — rzeczywistszy... Pióra drżą znowu w skrzydłach ptaka; nie wiem, czy to on znów do lotu się zrywa, czy też wiatr jaki tylko musnął go po pierzu i lotki niektóre dreszczem przejmuje"... W chwilach przygnębienia to drugie przypuszczenie wydaje się nam prawdopodobniejszem. Przychodzą jednak momenty, kiedy uczuwamy poprostu fizyczną potrzebę wiary w to, że to nie wiatr żaden muska pióra na skrzydłach może martwego ptaka duszy ludzkości, tylko że owe

http://rcin.org.pl

skrzydła właśnie zrywają się do potężnego lotu.

Jerzy Żuławski jest jednem z drżących, płomiennych piór w krwawem skrzydle ognistego gryfa duszy człowieczej, które w nas tę pokrzepiającą wiarę podtrzymują. W Gehennie życia współczesnego, w beznadziejnych odmętach sceptycyzmu, gorzką falą niesmaku zalewającego nam gardła, zachował on niewzruszoną pewność istnienia lepszego, duchowego pierwiastku w ludzkości, jakiś płomienny poryw do nieznanego a boleśnie przeczuwanego świata. Gdybyśmy chcieli w paru wyrazach scharakteryzować rdzeń artystycznej indywidualności Żuławskiego, powiedzielibyśmy, że najznamienniejszą jej cechą jest bezgraniczna tęsknota do absolutu. Filozoficzny skład umysłu, specyalne wykształcenie, jakie otrzymał, uczyniły z Żuławskiego poetę-myśliciela, błąkającego się z czarną rozśpiewaną lutnią w niezmierzonych, mrocznych otchłaniach wieczności. Jakaś płomienna, dantejska wiara w nadprzyrodzone światy, które, jak to widać z poprzednio przytoczonego urywka dedykacyi poematu „Lotos“ Przybyszewskiemu, są dla Żuławskiego rzeczywistszemi od najbardziej rzeczywistych, jakieś prorockie natchnienie Ujejskiego, wieszczącego przerażonemu ludowi wszechdruzgoczą-

http://rcin.org.pl

cy gniew straszliwego Jehowy (w „Introibo“ i w dziale „Z Talmudu“ daje się nawet spostrzedz pewien wpływ Ujejskiego), jakieś biblijne rozśpiewanie wreszcie—oświecają ponurym, nadziemskim blaskiem duchową twarz młodego poety. Na tej chmurnej, zczerniałej twarzy strawionego myślą wyłączną mistyka, jakbyśmy widzieli taką samą zgorzeliznę od ognistego oceanu zaświatowych płomieni, jakiej współcześni Dantemu florentczycy dopatrywali się ze zgrozą na jego ascetycznem obliczu.

Ascetą w najgłębszem, w najbardziej filozoficznem znaczeniu tego wyrazu, jest Żuławski. Oprócz kultury chrześcijańskiej, potężnie oddziałała na niego filozofia Buddhy i Szopenhauera. Dusza poety wyciąga „wychudłe, drżące od kajdan ręce więźnia przez kratę ciała“ do świetlanego błękitu, do rozegranych muzyką sfer regionów ducha, do wszechogarniającego, słodko pieszczącego melodyą fal morza Nirwany [1]). Rozkoszą

[1]) Nirwana niesłusznie utożsamianą bywa przez niekompetentny ogół—z nicością. Nirwana, według filozofii buddyjskiej, jest nadzwyczaj błogim stanem duszy indywidualnej, zlewającej się panteistycznie z wszechbytem, bez zatracenia wszakże odczucia osobniczego. Dusza ludzka znajduje się wtedy w stanie jakiegoś rozkosznego zachwycenia, uśpienia, ale świadomość bynajmniej istnieć nie przestaje. *(Przyp. aut.).*

http://rcin.org.pl

zmysłową, chuciami bydlęcemi Żuławski gardzi. Jeżeli wraca on w miękkie ramiona kobiety, to nie dla nasycenia zmysłów, lecz żeby „uśmiercić tę Psychę głupią i dziewiczą, która w błocie zszargana tęskni wciąż, bez końca, za czystością, za niebem, do Boga i słońca!“ Szlachetna, dumna pogarda nawet dla siebie samego w upadku, wstręt do nizkich, poziomych instynktów ułomnego ludzkiego cielska—buchają z tego znamiennego sonetu („Rozkosz“). Charakterystycznem jest, że w całym dużym tomie, oprócz dwóch do najwyższego stopnia uduchowionych sonetów („A la Botticelli“ i „Czarne oczy“), nie znajdujemy wcale erotyków. Wiele mówiący ten objaw daje się zauważyć zresztą nie tylko u Żuławskiego, ale i u innych także poetów, bynajmniej nie przeciętnej miary („Z czary młodości“ Miriama). Płomienny duch natchnionego pieśniarza zbyt potężne ogarnia horyzonty, nazbyt gorąco tęskni do swojej duchowej ojczyzny, zbyt strasznie cierpi nad nigdy może nie mającą zostać rozwiązaną zagadką bytu, nad krwawą tragedyą istnienia, żeby mógł oddać się brutalnemu zmysłowemu używaniu życia. Żuławski posiada na to zbyt wytworną i szlachetną naturę. Nie takiemu gwiaździstemu duchowi nurzać się w błocie ziemskich popędów i namiętności!...

http://rcin.org.pl

Najpotężniejszym wyrazem tęsknoty do absolutu w dotychczasowej twórczości Żuławskiego i najpiękniejszym jego utworem, którego nie wahamy się nazwać arcydziełem liryki, jest bezwątpienia księżycowy poemat o duszy lotosu. Na harfie ze złota, pereł i koralu wyśpiewał poeta, wcielony w ascetycznego księcia Beneresu, przecudowną symfonię do Nieznanego. Jakaś dantejska powaga i dostojność, które przystoją opiewaniu głębin bezdennych a tajemniczych i w ogóle rzeczy wielkich, towarzyszą toczonym, kryształowym tercynom tego natchnionego peanu na cześć duszy ludzkiej, stęsknionej do Nirwany a skazanej na straszną nieśmiertelność wcieleń, jęczącej w kajdanach życia. Kuglarka Maja, bogini złudnej rzeczywistości, więzi duszę w swoich zdradzieckich sidłach. Podniosły, głęboko mistyczny nastrój poezyi i filozofii indyjskiej (potężny wpływ Buddhy i Szopenhauera zaznaczyliśmy już poprzednio), cicha, łagodna kontemplacya świętego bramina, zaświatowy, palący, ascetyczny powiew „Boskiej komedyi“, pełne najczystszych uniesień wniebowzięcia „Przedświtu“ i nieopisany przepych formy „W Szwajcaryi“ przy skarbach Golkondy, kopalniach brylantowych tęcz mowy Słowackiego — uczyniły z „Lotosu“ poemat, godny stanąć

http://rcin.org.pl

obok najpiękniejszych utworów współczesnej naszej literatury. Przed oczami naszemi przesuwa się szereg pełnych bajecznego czaru wizyj księżycowych, które ilustruje rozperlająca się w rozszlochanych staccatach i cichutko łkających pianissimach słowicza muzyka harfy poety.

W duszy lotosu, wyczarowywanej przez księcia-poetę śpiewem z kielicha tego kwiatu, chwiejącego się w baśniowe księżycowe noce na zamglonej, błyszczącej srebrnie, cichej, tajemniczej głębinie świętych wód Gangesu, usymbolizował Żuławski wszystkie nasze nieokreślone tęsknoty do zaświata, wstręt do otaczającej nas jawy życiowej, nieśmiertelną wreszcie egzotyczność duszy ludzkiej, która będzie zawsze tęskniła do jakichś nieznanych słońc. Dusza lotosu zjawiała się zachwyconym, bezdennie stęsknionym za jej widokiem oczom szczęśliwego wybrańca, jako wybuchający z wonią kwiatu, utkany z mgły, gwiazd i srebrnych księżycowych promieni duch-Dziewica. Im natchniony pieśniarz grał i śpiewał piękniej, tem nadprzyrodzone zjawisko stawało się mniej niepewnem, nie tak rozwianem, nabierało konkretniejszych kształtów. „A kiedy pieśń ma wzmaga się namiętna, blade jej lica dostają korali i łono w szybszym wznosi się oddechu,

http://rcin.org.pl

jaśniejszy blask się w tajnem oku pali, na cichych ustach błyska cień uśmiechu; wyciąga ręce i rozpuszcza włosy, podana cała harfianemu echu"...

To nie była dusza lotosu. To poeta wyśpiewywał z siebie własną duszę, która przed nim „stawała smętna na kryształowej, na miesięcznej fali". Zdumiony nieopisaną jej pięknością, rzucał na uśpione w księżycu wody Gangesu coraz potężniejsze dźwięki, które czyniły jego ukochaną coraz piękniejszą, coraz ponętniejszą. Zaklęte koło bez wyjścia! Jak Narcyz zakochał się bez pamięci książę Benaresu w duszy własnej. Jak widzimy, symbol jest poprostu porywający!

Jeszcze głębszym, jeszcze większe tłumy uczuć i myśli nasuwającym staje się on następnie. Pragnienie uścisku, który miał być zabójczym, gdyż skazywał na wieczystą utratę kochanej i na męczarnie nieśmiertelności cielesnej, na miliony wcieleń bez końca i bez możności osiągnięcia kiedykolwiek Nirwany, która n i g d y nie miała się stać udziałem świętokradzcy,— nieprzeparta, namiętna chęć porwania w ramiona księżycowej dziewicy, przemogły wszystkie skrupuły, wszystkie względy.

Nieszczęśnik po ukutej ze srebra ławie miesięcznego blasku, po jasnej od księżyca szybie gangesowej fali, z rozegraną lutnią i ze śpiewem idzie „po

http://rcin.org.pl

rozkosz i—rozpacz bez kresu!“ Potężną jest w poecie pogarda dla złudy realnej rzeczywistości, przesłaniającej ludziom oczy na jedynie rzeczywisty, jedynie prawdziwy świat ducha i marzenia. „Wrogiem mi było słońce od tej pory, jasność przeklęta mi była, dzień wstrętny!“ Żuławski jest wyznawcą księżyca, poetą duszy, śpiewakiem bezbrzeżnej ludzkiej tęsknoty do Nieznanego. „Ta rzeczywistość barwna i bogata, która zachwyca tu tłumy powszednie, tak mi się zdała, jak jarmarczna szata, którą świat ducha swego kryje we dnie, by go pospólstwa nie skalały oczy“... Kiedy nazajutrz zrana, po zgubnej chwili szału, potępieniec budzi się „na harfy niemej połamanym trupie“ z tą myślą, że już nigdy nie ujrzy duszy lotosu, a raczej swojej własnej duszy, którą sprofanował i zgwałcił, i że jest skazanym na wieczne cielesne życie, w twarz mu się śmieje „z nieba słońce głupie“. Stara się on zabić w sobie myśl o straconem na zawsze dziewiczem zjawieniu—bohaterskiemi czynami, okrucieństwem zwierzęcem, rozpustą wreszcie wyrafinowaną. Napróżno wszystko! Nigdy z pamięcią o ukochanej rozstać się on nie może. Na widok „wstrętnych, nagich ciał kochanic“ ogarnia go obrzydzenie, a boskie rysy dziewicy lotosu widzi, jak niemy wyrzut, w każdej z tych

http://rcin.org.pl

znużonych orgią zmysłową, uśpionych twarzy. Do głębi wzruszają rozdzierający ból i rozpacz nieszczęśnika. W niepewne kształty widma kobiecego zaklęta wizya Prawdy, na chwilę ucieleśnionej wielkiej tajemnicy absolutu, nie z tęcz się zrodziła i nie z potoku piany, i nie tam, gdzie Aar wody błękitnemi spada, chociaż odzywają się w niej potężne echa tamtej, ale z nocnych białych mgieł, ze srebra miesięcznego, z gwiazd rozedrganych na świętej fali Gangesu. Jakby w przeciwstawieniu do bardziej słonecznej twórczej wizyi „W Szwajcaryi", ukazał nam Żuławski swoją księżycową baśń o duszy lotosu. Głębia filozoficzna tego poematu, jak również siła suggestyjna talentu Żuławskiego, poddają nam myśl, że to poeta właśnie jest współczesnem wcieleniem owego nieszczęsnego księcia Benaresu i że opowiada on nam s w o j e w ł a s n e p r a w d z i w e męki i cierpienia.

Poświęciwszy zbyt wiele miejsca na ocenienie piękności tego kwiatu o przedziwnej woni, jakim jest „Lotos", w którym najpotężniej się uzewnętrzniła artystyczna indywidualność poety, nie mamy go już na sprawozdanie z pozostałych, wartościowych utworów dużego tomu. Zaznaczamy więc tylko, że Żuławskiego nęcą tematy wielkie, potrą-

http://rcin.org.pl

cające o zagadkę bytu i filozoficzne zagadnienia życia. Groza, ta święta groza wobec Nieznanego, która podnosi włosy na głowie i mrozi krew w żyłach, przenika jego poezye. Biblia, Talmud, święte księgi buddyjskie („Jadżur-weda“) niekiedy dostarczają mu wątku. Wstrząsającym do głębi duszy jest „Introibo“, gromowa zapowiedź zejścia Boga-Sędzi na spodloną ziemię. Strasznemi, olbrzymiemi są zapasy Michała z Lucyferem w gwiazdzistych otchłaniach, na których wynik czeka Bóg, wsparty o powstrzymaną śrubę świata. Pełnym nieopisanej grozy jest „Dies irae“, dantejsko ponury, straszliwy obraz sądu ostatecznego. Czarownemi są „Narodziny Psychy“ i pełnemi głębokiej mądrości natchnione trawestacye Talmudu.

W złotej zbroi prawego rycerza ducha, bez bicia w mosiężne talerze dziennikarskiej reklamy, stanął przed nami odrazu Jerzy Żuławski, jako indywidualność poetycka nadzwyczaj wybitna i odrębna. Obracając się w samym warze fanatycznego sekciarstwa szkoły krakowskiej, pozostał on zawsze sobą. Anhelliczna dusza jego poezyi stokroć jest sympatyczniejszą i piękniejszą od „nagiej duszy“ niektórych modernistów, jak kwiat dziwaczny a chorobliwy, wykwitłej z mętnego błota pierwotnych zwierzęcych instynktów. Erotomania nie

http://rcin.org.pl

budzi ducha, ale jest dla niego zabójczą. Zająwszy jedno z pierwszych miejsc w młodej naszej poezyi, nie ma w sobie Żuławski sekciarstwa Przybyszewskiego, ani zmrożonego chłodną mistyką estetyzmu Miriama, ani pewnej żywiołowości i „mickiewiczowania“ Tetmajera, ani suchej eklektyczności Langego. Niech aryelowy geniusz poezyi błogosławi jego natchnionej, rozśpiewanej lutni...

---

http://rcin.org.pl

Kazimierz Tetmajer

w najnowszych utworach.

—✳—

Słyszycie tentent? Po nagich tatrzańskich turniach, śród bezkształtnych skalistych ogromów, w kamiennej przedbytowej głuszy, pod bezdennym, ciemnym oceanem nocy, gdzie „wieczysta trwania straszliwa obojętność z gwiazd się wyotchłania“, pędzi przed siebie w beznadziejną dal i pustkę, szalony böcklinowski centaur, czy faun w poszarpanych wieńcach kwiatów, potężnych kwiatów życia, „pękających od słońca pożarów“, spieniony, z obłąkanemi melancholijnie oczami, wrzący, bujny, żywiołowy... Pierzchają przed nim w nieopisanym popłochu rozbrykane stada „nimf smukłoudych o ciałach z świeżą wonią bzów“, rozhukane tabuny pysznych nagich kobiecych ciał, które napróżno

http://rcin.org.pl

wabią do bydlęcej miłosnej rozkoszy krzepkiego, rudego fauna. Porozganiawszy na cztery wiatry wdzięczne haremy szatańsko kuszących wschodnich odalisek i hurys, z których każda omdlewa w ramionach mężczyzny w coraz to innem „lubieżnem przegięciu“, odtrąciwszy z obrzydzeniem i wstrętem kryształowo-złotą czarę musującego szampana zmysłowego użycia, goni on za świetlanem widziadłem szczęścia idealnego, wymarzonego, którego nigdy pochwycić nie będzie mu dano. Łudzi się on tylko, że porwał więzy, kwieciste ljany, z siłą stalowych powrozów przykuwające go do rzeczywistości, do jawy życiowej. Oplatają go one ze wszystkich stron wężowemi przeguby, jak Laokoona, oślepiają słonecznym przepychem barw, duszą zatrutą wonią.

Nad wyraz nieszczęśliwym tym centaurem, czy faunem, zalanym łzami bezbrzeżnej tęsknoty do słonecznych krajów ducha, do jakichś legendowych zaczarowanych ogrodów sennego marzenia, jest Kazimierz Tetmajer w ostatniej fazie swojej twórczości. Nie znamy bardziej wstrząsającej tragedyi nad tę, jaka się rozgrywa w ciemnej, ponurej otchłani duszy tego nieszczęsnego poety. Znienawidziwszy życie realne („codzienną jego podłość“), które się do niego uśmiecha wszystkiemi

http://rcin.org.pl

czarami wiosny, miłości, słońca i zieleni, ukochał Tetmajer nadewszystko marzenie o jakimś innym świetlanym bycie, zadumanym nad własną pięknością, o jakiejś błękitnej ciszy, zasłuchanej w sobie, o czemś niewysłowionem, nieuchwytnem, nieujętem, w języku ludzkim niepodobnem do wypowiedzenia. Tymczasem rzeźbiarska plastyczność jego talentu, barwna konkretność słowa, zdecydowana konturowość sposobu myślenia i odbierania wrażeń, pewna spiżowość indywidualności, cała organizacya artystyczna wreszcie, pchają go w objęcia bogatej, różnorodnej rzeczywistości, będącej dlań materyałem do ciosania posągowych kształtów poezyi. Tetmajer nie posiada w swojej greckiej, pogańskiej duszy, mistycznej gotyckości mrocznych katedr średniowiecznych, o zakurzonych, spłowiałych, kolorowych witrażach, błyszczących w półcieniu, jak gorączkowe wizye ascetycznych mnichów. Nie ma on w sobie niezdecydowaności, mglistości, błędnych ogników mistycznych głębin duszy, będącej dla samej siebie straszliwą, nieodgadnioną tajemnicą. Określoność, wyraźne zarysy, cechują najbardziej rozwiewne, zamglone natchnienia Tetmajera. Napróżno szukalibyśmy w portretowanym przez nas poecie mistycznej grozy Edgara Poe,

http://rcin.org.pl

albo widziadlanej świetlaności Shelley'a, Słowackiego, Keats'a. Tetmajer jest talentem nawskroś realnym, jak realnymi geniuszami byli: Michał Anioł, Byron, Mickiewicz... Potęgowali oni w swoich arcydziełach życie rzeczywiste do najwyższego stopnia. W Tetmajerze niema ani śladu Dantego, prerafaelitów, Maeterlincka. Z koryfeuszów naszego piśmiennictwa, Tetmajer bardzo jest pokrewny Mickiewiczowi i Sienkiewiczowi, którzy wywarli na niego pewien wpływ. Wpływ Sienkiewicza widoczny jest nie tylko w „Aniele śmierci" i w „Otchłani" (gdzie, oprócz „Bez dogmatu", znać szarpaninę duchową „Wigilij" i „De profundis" Przybyszewskiego), ale także w niektórych poezyach dawniejszych seryj. Przy pewnej żywiołowości, realności natchnienia, Tetmajer posiada ogromne aspiracye do mistycyzmu, nieukojoną tęsknotę do zaświata. W więzach Mai płacząca dusza ludzka, Prometeusz marzenia, przykuty do twardej skały życia, wyznawca słońca z utopionym w łonie śmiertelnym grotem wieczystej tęsknoty do księżyca... I to właśnie stanowi wielką tragedyę duszy Tetmajera.

Mniejszą już tragedyą, chociaż równie rozdzierającą, jest widoczna w czwartej seryi poezyj straszliwa suggestya tłumu i kobiety, tych urodzonych wro-

http://rcin.org.pl

gów artysty; suggestya owa przenika z zewnątrz do tajemniczych głębin duszy poety, nurtuje tam w sezamowych jej pokładach pod linią świadomości, aż wybucha wreszcie spienioną, powrotną falą społeczniczych autorekryminacyj i wyrzutów sumienia. Jedną z koniecznych, podstawowych cech poezyi, jako najwyższej ze sztuk pięknych, jest przeciwstawienie się indywidualnej jednostki artysty szarej zbiorowości banalnego, wrogiego duchowi i nowości tłumu. Biada tym chwilom w rozwoju poezyi, kiedy poeta jest wodzem i kapłanem tłumu,—znaczy to, że bardzo niewiele, albo niczem zgoła nie różni się on od inertnej, bezwładnej masy. Prawdziwy poeta, artysta, wynalazca, odkrywca nowych prawd, będzie zawsze ofiarą, męczennikiem tłumu, ale nigdy jego prowodyrem. Przypomnijmy sobie wszystkich twórców nowych religij, nowych systematów naukowych, nowych światopoglądów, przypomnijmy sobie wreszcie, co powiada Ibsen we „Wrogu ludu“ o nowych i starych prawdach. Kobieta również, jako namiętna rzeczniczka najżywotniejszych interesów tłumu, żarliwa emisaryuszka instynktów: samozachowawczego i rozrodczego, wytrwała bojowniczka w sprawie reprodukowania gatunku, nienawidzi z głębi duszy filozofów, poetów,

http://rcin.org.pl

artystów, wogóle duchów twórczych, jako przeciwstawiających ducha ciału, budzących myśl, świadomość, rozpalających światła nowych idej. Przytem, kobieta jakby żywiła głuchą urazę do twórców za to, że duchowe ich dzieci przychodzą na świat bez jej współudziału. Naturalnie mówimy tutaj o bezbarwnym ogóle kobiet. Szczupła garstka bojowniczek ducha pośród nich bynajmniej nie wywraca naszej syntezy.

Nigdy świadomość antagonizmu indywidualnej jednostki i tłumu nie była większą, niż obecnie. Zrozumiałe przyczyny (a przedewszystkiem ta, że myśliciele i artyści nie są jakiemiś bezpłciowemi istotami, tylko mężczyznami, obdarzonymi ludzkiemi namiętnościami i chuciami) nie pozwoliły twórcom uświadomić sobie antagonizmu myślącej, odrębnej, samotnej w tłumie duszy i kobiety. Niektórzy z nich jednak, jak: Nietzsche, Ibsen, Strindberg, Przybyszewski, Arne Garborg i inni, uświadamiają sobie już i ten antagonizm. Pomimo to jednak, artysta zupełnie bezwiednie ulega potężnej suggestyi tłumu i kobiety.

Suggestyi tej uległ również Tetmajer. Podczas kiedy Kasprowicz w słynnym wierszu p. t. „Byłeś mi dawniej bożyszczem, o tłumie!“ wysmagał bez miłosierdzia tego kudłatego potwora,

http://rcin.org.pl

szpicrutą pogromcy dzikich zwierząt, Tetmajerowi przychodzą do głowy refleksye natury społecznej, Tetmajer doznaje społecznych wyrzutów sumienia. Szlachetne, podniosłe te strofy malują go z najpiękniejszej strony — jako człowieka — i świadczą zarazem o głuchej suggestyi biernej, bezwładnej masy ludzkiej, jakiej uległ artysta. Posłuchajmy wybuchów tej społecznej skruchy: „I cóżem wart jest, choćbym tęczą świecił, jeżelim nie jest dżdżem płodnym i słońcem? Jeżelim ognia i blasku nie niecił, cóżem wart, choćbym lawy był gorącem? Choć wszystkie czucia w człowieku poruszę, cóż, jeśli bóstwa nie rzucam mu w duszę?“ A w końcu woła poeta: „O! gdyby z twojem na ustach imieniem, z twoim na sercu i w duszy obrazem, z jakiemś olbrzymiem na oczach widzeniem, w uszach z pioruny kruszącym wyrazem, w jakiś Dzień Wielki i pamiętny długo, paść gdzieś na szańcu choć z śmierci zasługą!“ Jak widzimy, szlocha w tym wierszu rozdzierająca poprostu serce tęsknota do wielkości, do bohaterstwa, do położenia życia dla jakiejś ukochanej idei... Przejmującą rozpacz, z powodu gnuśnienia w bezczynności, wypłakał wzruszająco Tetmajer w przepięknym dawniejszym swoim wierszu p. t. „Vogue la galère!“

http://rcin.org.pl

„Tonący błotem będziem pluć", podczas kiedy okrętom, płynącym dumnie ku zwycięztwu, „sto świeci nadziei". Wszyscy się dusimy w tem cuchnącem bagnisku filisterskiej szarzyzny. I tutaj właśnie szukaćby należało genezy naszej wdzięczności dla Sienkiewicza za jego trylogię, za to, że nas przeniósł w świat inny...

Ale zacytujmy raz jeszcze Tetmajera: „Posępne widmo... Lata mnie już goni, z potem na czole, z ranami na dłoni, i każdą chęć mą, każdą żądzę miesza — Wiem, znam cię! znam cię! tyś cierpiąca rzesza... Tak, słyszę! czuję! wiem, gdzie iść się winno, wiem, czego żądasz ty od nas na świecie — Niech mię więc wicher z pola, jak pył zmiecie, jeżelim służbę zaniedbał powinną! Rozumiem wszystko, jeśli moją drogą idąc, nie krzepię, nie bronię nikogo, jeśli me słowo ni tarczą, ni chlebem, ni krzykiem krzywdy, ni skargi jest echem: niech runę w przepaść z tym śmiertelnym grzechem i niech niepamięć będzie mi pogrzebem!..." Oczom wierzyć się nie chce, że to wszystko pisze tak uświadomiony i tak wielki artysta, jakim jest Tetmajer. Potężną zaiste jest suggestya tłumu. Mamy więc do czynienia z powrotną, wylewającą falą haseł, jakie rozpierały gorącą pierś młodziutkiego Kazimierza Przerwy. Jakaż otchłań nie-

http://rcin.org.pl

przebyta dzieli ten okrzyk rozpaczy od gromów, ciskanych na głowy ludzkiej czerni przez Kasprowicza, za co ten ostatni został tak surowo zmonitowanym przez naszych społeczników.

A teraz powiedzmy jeszcze słów kilka o suggestyi kobiety na Tetmajera. Wszyscy pamiętamy jego brutalnie zmysłowe zachwyty nad ciałem kobiecem („Lubię, kiedy kobieta“, „Leda“ i tyle innych wierszy). Otóż, o Tetmajerze z ostatniej doby twórczości mówi się powszechnie, że on, który widział dotychczas w kobiecie tylko ciało, obecnie przejrzał i zobaczył kobiecą duszę, i t. p. Tymczasem, według naszego zdania, najnowszy ten zwrot u Tetmajera jest tylko symptomem potężnej suggestyi kobiety, równie niebezpiecznej, jak tłumu. Ze stanowiska myśli krytycznej, ducha, tysiąc razy już woleliśmy tetmajerowskie „pożądań wściekłe spienione obłędy“, jego zachwyty nad „lubieżnemi przegięciami“ ciała kobiety, omdlewającej mu w objęciach, od takiego chociażby dwuwiersza z „Qui amant“: „Róże, co tkwiły w jej ciemnym warkoczu, pod Twoje stopy godne upaść, Chryste“... Ne misceantur sacra profanis. Pod święte stopy Chrystusa godne są upaść róże z niepokalanie czystej, opromienionej niebiańską aureolą

http://rcin.org.pl

skroni św. Teresy, jakiej pokornej i cichej mniszki średniowiecznej, jakiejś czystej, świętej dziewicy, ale nigdy z ciemnego warkocza zwyczajnej światowej panny, w której poecie podobało się Bóg wie co ujrzeć, którą poeta raczył przyodziać całym przepychem swojej pięknej, bogatej, rozkochanej duszy. Niemasz większej profanacyi, większego prostytuowania ducha, nad kładzenie go w miłość płciową. Niemasz boleśniejszego widoku nad widok duszy ludzkiej, nurzającej się w bajorze zmysłowości.

Kończymy ten nasz pobieżny szkic przypomnieniem czytelnikom cudownego sonetu Tetmajera o tej kobiecie, nieznanej mu z imienia, ani z nazwiska, która pójdzie „z głową na piersi schyloną“ za jego trumną, nie wiedząc, czemu jej oczy łzami zachodzą, „czemu drży jej łono?“ Tą kobietą, według Tetmajera, będzie właśnie ta, którą mu przeznaczył los, zanim „życie jego spaczył“, która dałaby mu najwyższe szczęście... Według nas, tą kobietą będzie wdzięczna potomność.

„OTCHŁAŃ.“

Suggestya tłumu, jakiej uległ Tetmajer w ostatniej fazie swojej twórczości,

http://rcin.org.pl

daleko widoczniejszą jest w „Otchłani“, niż w czwartej seryi „Poezyj“. Ludwik, bohater „Otchłani“, jeżeli go tak nazwać można, gdyż jest on właściwie całopalną ofiarą na ołtarzu społeczeństwa, nie przestając być jednak bohaterem greckiej tragedyi, zmiażdżonym przez Ananke—bohater „Otchłani“ tedy, ów potwornie cierpiący Werter współczesny, o całe piekło niedoli i uświadomienia głębszy od Wertera göthowskiego, truchleje formalnie przed ludzką czerniawą, wobec której czuje się on ziarnkiem piasku, marnym pyłem. Przed społeczeństwem, przed mistycznem morzem ludzkości, będącem przecież zbiorowiskiem gatunkowo podobnych mu istot, ogarnia Tetmajera święta groza, a nieopisany strach jakiś tajemniczy przenika go do szpiku kości.

Podobnie truchleje podróżnik Wellsa przed oślizgłemi, pająkowatemi, piwnicznemi ludzkiemi istotami, przed podziemną ludzkością morloków, podobnie truchleją wobec głuchego oceanu tłumu najgłębiej uświadomione indywidualne duchy ludzkie, zdolne nietylko do przeciwstawiania się biernej, inertnej masie społecznej, ale także do tego, żeby się czuć pośród niej zupełnie obco, niby istoty, spadłe na kulę ziemską z innej planety. Któż z nas nie doświad-

http://rcin.org.pl

czał w chwilach zniechęcenia, czy też „rozpasania antispołecznych instynktów", podobnych uczuć względem swoich bliźnich, względem swoich „braci w Chrystusie?" Wiemy, niestety, z własnego doświadczenia, jak okropnem, jak straszliwie beznadziejnem jest owo uczucie absolutnego osamotnienia, obcości pośród ludzi.

Poprostu przygnębia nas w autorze owo jakby znękanie, złożenie broni, a nawet zupełne ukorzenie się zestrachanego dziecka przed olbrzymem z bajki. Wobec czarnego, przewalającego się z rykiem w swojem łożysku morza ludzkości, Tetmajer czuje się marnym prochem, w każdej chwili mogącą zostać zmiażdżoną drobiną. Jest w tem przykre truchlenie ściganego zwierzęcia przed tajemniczą, straszliwą, nieubłaganą potęgą. Ale jest w tem także dojrzałe, męzkie uświadomienie społeczne i szlachetne drgnienie serca dobrego człowieka.

Tetmajer doznaje nietylko uczucia mistycznego strachu wobec tłumu. W szlachetnem jego sercu zebrały się nieprzebrane skarby społecznego współczucia dla ludzkiej niedoli i zrozumienia madejowego łoża cierpień, na którem rozpiętą jest ogromna większość ludzkości. Znalazłszy się na wielkich duchowych wyżynach, wejrzał Tetma-

http://rcin.org.pl

jer rozumnemi, zadumanemi oczyma we współczesne stosunki społeczne i nie mógł nie przyznać palącej kwestyi tej pierwszorzędnej doniosłości, jaką ona niezaprzeczenie posiada. Wogóle dusza Tetmajera w ostatnich czasach pogłębiła się i wyszlachetniała ogromnie. Wznosi się na potężnych skrzydłach na coraz niebotyczniejsze wyżyny. A na szczytach tych panuje nadzwyczaj podniosła etyczna atmosfera.

Zdrowe tchnienie moralne, wzniosłe pojmowanie obowiązków społecznych przenika „Otchłań". Prawda, ludzka czerniawa nędzarzy, porywając w osobie trybuna Ryszarda bohaterowi „Otchłani" jego ukochaną Marynię, jego szczęście—chwilami wydaje się Tetmajerowi bezdusznym potworem, głucho szumiącym oceanem, z siłą i nieubłaganą potęgą żywiołu zalewającym, niszczącym i grzebiącym w swojem chłodnem łonie raj małżeński Ludwika. „Czarna masa", jak nazywa tego potwora Tetmajer, przyszła po swój trybut, po swoją daninę z życia ludzkiego, mści się ona strasznie i niemiłosiernie na odstępcy swojej sprawy, godząc go w samo serce. Miażdży jego szczęście osobiste, dla którego sprzeniewierzył się on ideałom swojego życia. Drugi on z czasów „młodości górnej i chmurnej", jak jemu samemu przynajmniej się zdaje,

http://rcin.org.pl

a właściwie oschły, szematyczny doktryner Ryszard, przychodzi i sięga po Marynię, jak po swoją, a następnie zabiera mu ją bez żadnego wysiłku ze swojej strony. Prawda więc, że Tetmajer zaznaczył wyraźnie okrutną bezlitosność tego wszystkiego.

Ale z drugiej znowu strony w całym duchu, ożywiającym fantazyę psychologiczną „Otchłań", tkwi głębokie moralne poczucie wielkiego, świętego społecznego obowiązku, dla którego jedynie żyć warto i którego zaniedbanie nietylko mści się strasznie na opieszałym włodarzu, ale także zatruwa mu duszę krwawemi wyrzutami sumienia, ścigającemi nieszczęśnika, niby harpie Orestesa, niby furye piekielne. Ludwik nie znalazł spodziewanego szczęścia w objęciach Maryni, jak Walter go nie znalazł w słodkich ramionach Aldony. W namiętnym uścisku ukochanej kobiety, na drogiem jej łonie, zagłuszał on tylko krzyczące wielkim głosem sumienie. Zbyt podniosłym był na to moralnie, by się módz oddać samolubnemu używaniu życia w rozszemranej świeżemi zdrojami, zielonej oazie rodzinnego szczęścia, podczas kiedy równikowe słońce praży swemi zabójczemi promieniami piasczyste pustynie Sahary nędzy ludzkiej. Ludwik zbyt był na to uświadomionym społecznie, żeby, rozkoszu-

http://rcin.org.pl

jąc się małżeńskiemi pieszczotami na zaczarowanej wyspie pożycia z Marynią, zapomnieć o tem, że naokoło niego szaleje morze ludzkiej niedoli...

Posprzeczalibyśmy się o to z Tetmajerem, czy nadludzkie bohaterstwo Ludwika, czy jego pastwienie się nad samym sobą (popychanie Maryni w objęcia Ryszarda) osiągnęło swój cel, czy opłaciło się ono jednem słowem? Wyswataniem tych dwojga kochających się serc (żony i przyjaciela), Ludwik chce ocalić Ryszarda dla szerszej areny i powstrzymać go od wykonania rozpaczliwego zamiaru emigrowania do Ameryki. Pozostawiając już na boku pytanie— czy właśnie Ameryka nie byłaby szerszem polem do działania, niż Europa, chcemy się zatrzymać nad przypuszczeniem, czy dla Ryszarda, jako dla człowieka idei, nie większem niebezpieczeństwem od wyjazdu do Ameryki — było małżeństwo z Marynią? Miałby coś w tej kwestyi do nadmienienia dr. Judym z „Ludzi bezdomnych“ Żeromskiego, odtrącający od siebie stanowczo i nazawsze Joasię dlatego właśnie, żeby módz nie swoje serce oddać ludziom o ciężkiej społecznej niedoli. A kiedy Joasia z wypiekami wstydu na twarzy oświadcza narzeczonemu, że ona nietylko nie ma zamiaru przeszkadzać mu w tej pracy, ale chce mu w niej dopo-

http://rcin.org.pl

magać z całego serca, że w ich mieszkanku będą stały zwyczajne drewniane ławy, obite prostym kilimkiem i że na ścianach będą w niem wisiały powycinane z ilustrowanych pism rysunki, Judym bardzo słusznie i mądrze odpowiada jej na to, że do ordynarnych kilimków i do niewybrednych rysunków, poprzyklejanych do ściany, można się tak samo przywiązać, jak do pluszowych portyer, wybijanych atłasem stylowych mebli i drogich oryginalnych obrazów największych mistrzów. Zupełnie się zgadzamy z doktorem Judymem. Taką już jest psychologia uczuć rodzinnych. Trawestując znaną prawdę z Pisma świętego, że nie można jednocześnie służyć Bogu i mamonie, powiedzielibyśmy, że nie można jednocześnie oddać całego serca sprawie społecznej, czy dobru ogólnemu—i rodzinie. Judym sercem swojem rozrządził już nieodwołalnie, cyrograf z nędzą ludzką podpisał krwią swoją serdeczną, nic więc dziwnego, że mu już nie wystarczyło kapitału uczucia dla kilimków, tanich ilustracyj i Joasi. Ludwik zaś i Ryszard jakby sobie z tych rzeczy nie zdawali sprawy zupełnie. A od Ludwika mielibyśmy nawet prawo wymagać, żeby był pod tym względem uświadomionym, gdyż wiedział on dobrze o tem, że jeszcze przed ożenie-

http://rcin.org.pl

niem się z Marynią, musiał zostać rozsądnym biuralistą, karyerowiczem, jednem słowem, musiał zmarnieć społecznie, żeby módz ją posiąść. Duże uświadomienie filozoficzne i społeczne, wielka inteligencya i moralna podniosłość duszy, jak również głos wewnętrzny sumienia, który napróżno starał się on stłumić, tuląc się w białych ramionach Maryni, nie pozwoliły Ludwikowi zmarnieć doszczętnie, nie pozwoliły mu zostać tylko bezduszną biurokratyczną machiną, zapracowanym urzędniczym wołem, w wolnych od jarzma biurowego chwilach oddanym marnym rozkoszom i subtelnościom małżeńskiej alkowy. Przyznajemy, że ten z kościami, żyłami, krwią i muskułami żywy człowiek, cierpiący strasznie i przytem głęboko współczujący ludzkiej nędzy, gdyż sam po uświadomieniu sobie swojego nieszczęścia (pokochania Ryszarda przez Marynię) jest największym duchowym nędzarzem, przyznajemy, że Ludwik jest dla nas stokroć sympatyczniejszym i szlachetniejszym od automatycznie bohaterskiego, drewnianego doktrynera Ryszarda. To, co pozostało z Ludwika, to są w każdym razie jeszcze „les beaux restes“, pozwalające nietylko porównywać go z Ryszardem, ale nawet postawić daleko wyżej od tego ostatniego.

Z chwilą zaś, kiedy Ludwik wznosi

http://rcin.org.pl

się na wyżyny męczeństwa, maltretując umyślnie Marynię dlatego żeby uwierzyła, że on już jej nie kocha i odeszła od niego do Ryszarda, z chwilą kiedy wzywa Ryszarda do Maryni, która, oprócz tego, że jest jego ukochaną kobietą, stała się jeszcze dla niego najdroższą siostrą i umiłowanem dzieckiem, które chciałby widzieć szczęśliwem, z chwilą, kiedy Ludwik wzniósł się na te szczyty samozaparcia, staje się on dla nas istotnym bohaterem, żywym z krwi i kości nadczłowiekiem, ociekającym jeszcze ciepłą, dymiącą krwią strasznego cierpienia. I trzeba było tylko kurzego mózgu Maryni, żeby nie zrozumieć bohaterskiej szczytności Ludwika, trzeba było na to gęsiego jej serca, ażeby nie przeczuć w nim wzniosłego, królewskiego ducha.

Męczarnie zazdrości, szarpiące to szlachetne serce, wyszlachetniły je bardziej, zamiast upodlić. Nad wyraz wytworna, duchowo książęca, mimozowa dusza Ludwika ugina się, słabnie razem z ciałem pod brutalnym obuchem nieopisanego nieszczęścia, podczas kiedy gruboskóry filister miotałby się wściekle, rycząc jak bawół: „krwi!... krwi!...“ Usłyszawszy z ust Maryni, że go ona nigdy nie kochała, popada w długą recydywę ciężkiej choroby, w stan bezprzytomny, z którego ocknie się

http://rcin.org.pl

dopiero znękanym, osiwiałym rozbitkiem, beznadziejnym potępieńcem. Męczarnie ukrywanej przed samym sobą zazdrości, przez jakie przechodzi Ludwik, dadzą się chyba tylko porównać do piekielnych katuszy prawdziwego tytana zazdrości, jakim jest Jago w „Otellu". Fantazya psychologiczna Tetmajera jest poniekąd demonicznie rozświeconą krwawem światłem, fantazyą na temat nieśmiertelnego, straszliwego uczucia zazdrości. Kiedy burza, szalejąca na powierzchni świadomości ciemnego morza duszy Ludwika, ucicha na chwilę, słyszymy dobywające się z jego bezdennej głębi wycie stada szakali, wyprawiającego sobie ucztę późną nocą na cmentarzu. W „Otchłani" spotykamy niejednokrotnie wzruszające, głębokie nastroje. Szarpane piekielną zazdrością serce nieszczęsnego Ludwika jakby głucho przeczuwało grożące mu w każdej chwili niebezpieczeństwo. W nieświadomych pokładach jego duszy odbywa się wciąż tajemna praca psychiczna, której wytycznemi słupami bywają niekiedy alarmowe czerwone sygnały. Jakby ostrzeżony podobnym znakiem, zrywa on się kiedyś w nocy, idzie jak lunatyk do sypialni Maryni, łudząc się niby w półśnie, że pomiędzy nimi wszystko jest po dawnemu, idzie po to, żeby

http://rcin.org.pl

zobaczyć na jej wargach uśmiech najwyższego zmysłowego upojenia. Jak się później okazało, poczciwa Marynia marzyła, że jest w objęciach Ryszarda. Przywołana do niemiłej rzeczywistości, przebudzona przez męża, spojrzała na niego z nieopisanym wstrętem. Ludwik po tem małem zajściu przyszedł do przytomności dopiero w kilka tygodni. Niesmaczne tylko wywiera wrażenie mimowolne zapewne uchylenie przez Tetmajera zasłony, dyskretnie zakrywającej przed okiem profanów ordynarne, seksualne tajemnice małżeńskiej alkowy. Ludwik, łudząc sam siebie, że w stosunku jego do Maryni, jako jej męża, nie zaszła żadna zmiana, oddaje się następującym myślom: „Wejdę... cicho—musi spać... Ciemno... Nawet lampka zgaszona... Gdybym wszedł, gdybym zapalił świecę, gdyby mnie zobaczyła, uśmiechnęła się, wyciągnęła ku mnie rączki... swoje białe rączki z szerokiemi rękawkami, tak, że je całe widać (bagatela! *przyp. aut.*). Ileż razy błądziły one po mojej szyi... Wejdę... Jak ciemno tam u niej... Czekaj, cyt, zapalę zapałkę. Obudzi się, jestem pewny, że uśmiechnie się do mnie i wyciągnie rączki. Nie byłem u niej ze sześć tygodni, więcej, przeszło dwa miesiące. (Co za wstrętna buchalterya! *przyp. ascetycznego aut.*).

http://rcin.org.pl

Ani razu nie mówiła o tem... Ona jest dumna"... i t. d. Przygnębia poprostu ten dosyć realistyczny obrazek tej strony małżeńskiego pożycia. „Bo i któżby— jak słusznie powiada Carlyle—wyrywał pachnące kwiaty, okalające altanę małżeńską, i pokazywał gnój, w którym one kwitną?"

Suggestya kobiety, jakiej uległ Tetmajer w ostatniej fazie swojej twórczości, również jest widoczną w „Otchłani", jak i w poezyach. Ten sam Tetmajer, który nie tak dawno jeszcze miał strindbergowską odwagę powiedzieć kobiecie, że wewnątrz niej jest próżnia, ukrywająca się fijołkowato, dodajmy od siebie, pod szumnemi pozorami tajemniczości, demonizmu i t. p. okropnych rzeczy, ten sam odważny Tetmajer zdaje się teraz truchleć przed kobietą, również jak i przed tłumem. Nie zdając sobie jednak z tego zupełnie sprawy, truchleje on raczej przed rozbestwionem Pandemonium instynktu rozrodczego, przed wielką tajemnicą doboru naturalnego, których ofiarą padł nieszczęsny jego bohater. Możemy zapewnić Ludwika z „Otchłani" (resp. Tetmajera), że gdyby „temu trzeciemu" w jego tragedyi małżeńskiej było na imię nie Ryszard (które to imię, według mistycznego domniemania Ludwika, skojarzyło się natychmiast

http://rcin.org.pl

w umyśle Maryni z bohaterską postacią Ryszarda Lwie Serce), a Bartłomiej, Marynia wynalazłaby sobie niebawem w dziejach powszechnych jakiegoś Bartłomieja (np. jakiego rycerskiego Bartolomeo, bandytę, księcia, albo wreszcie podestę we Włoszech średniowiecznych), żeby módz na poczekaniu popełnić wzniosłe porównanie na korzyść ukochanego. A to wszystko dlatego, że do tego Ryszarda, czy Bartłomieja z całą żywiołową potęgą pociągnęły ją zmysły, że Ryszard bardziej od Ludwika był zbliżony do jej organicznego ideału mężczyzny. Z jakąż bezwzględnością, z jakiemż okrucieństwem odepchnęła ona od siebie niezwłocznie człowieka, który dotychczas był dla niej wszystkiem, skoro nowe sitko zobaczyła zawieszonem na kołku! Była w tem jakaś głucha wściekłość ludzkiej samicy, że tyle sobie zmarnowała czasu, że tak długo nie znała Ryszarda. I cóż z tego, że poczucie obowiązku, uczciwość i lojalność człowieka, chcącego dopełnić zobowiązań, trzymają Marynię przy Ludwiku, dopóki on sam jej nie odtrąci od siebie, skoro kobieta w niej bez wahania pogrążyła go w otchłań beznadziejnej rozpaczy? Mamy słuszne prawo dodać uwagę, że podobne oryentowanie się w pomyłkach i potem skwapliwe pro-

http://rcin.org.pl

stowanie takowych, że podobne fałszywe apetyty kobiecego serca ogromnie pachną jakimś pierwotnym, atawistycznym popędem do poliandryi, szczątkowym instynktem z zamierzchłych okresów matryarchatu. Że głuchy ten popęd dotychczas bywa zaspakajanym przez wiele kobiet — może to nie jest tylko wytworem stosunków społecznych... Kobieta nie jest bynajmniej sfinksem, za jakiego niekiedy pragnie uchodzić. Naprawdę tajemniczemi, jak śmierć, są: zagadka bytu i przyroda.

---

http://rcin.org.pl

Kazimierz Gliński.

Od wichrów stepowych ogorzała pierś jego nie jest skrojoną na miarę krawca... Wielkie dumy ukrainne, wielkie natchnienia hetmańskie, wielkie epopeje rycerskie, pełne szumu proporców, pochylających się nad bujnym, szerokim stepem zielonym, musiały kołysać do marzeń jego młodą głowę, musiały rozsadzać, jak wulkan, pierś jego szeroką. Faluje, pochyla się od wiatru do pach rycerza sięgające morze trawy stepowej, w którem tatar razem z koniem ukryć się mógł snadno, w powietrzu krążą czajki i słychać jakieś ogromne chorągwiane szumy, skrzypią wozy wojennych taborów. Ogromne porywy, ogromne natchnienia, ogromne aspiracye. Poeta chwilami wywiera wrażenie jakiegoś didalirnika, kozaka, grającego na teorbanie,

http://rcin.org.pl

stepowego bałaguły, akompaniującego sobie do śpiewu na drumli. Chwilami zaś olbrzymieje nam Gliński do rozmiarów barda ukraińskiego, czy też słowiańskiego Bojana.

Jakaś prasłowiańskość zamieszkała w jego natchnionej, rozkołysanej śpiewem piersi. Jak mało kto, odczuwa on ducha pierwotnych, pogańskich słowian, rozumie surową, rozegraną muzyką puszcz przyrodę ówczesną, uduchowioną, zaludnioną bogami w wieńcach z wiecznie zielonych dębowych liści na głowach i boginkami w szatach ze mgieł białych. Nawskroś przeniknięte tym duchem prasłowiańskim są dźwięczne, jak spiż dzwoniące, szerokim rytmem płynące wspaniałe strofy „Pieśni królewskiej". Istotnie, królewską jest ta pieśń Glińskiego, a on sam wydaje się nam przedewszystkiem epikiem, jakimś zabłąkanym pośród nas ukrainnym Homerem, może jednym z ostatnich epigonów romantyzmu, głuchym na nowe drgnienia duszy, pozostającym całkowicie pod czarem Słowackiego i szkoły ukraińskiej, głównie Bohdana Zaleskiego.

Gliński i Or-ot, jeżeli nie będziemy liczyli Stefana z Opatówka, który już zamilkł prawie zupełnie, są to może już jedyni żyjący pośród nas „die letzten zwei Grenadiren" romantyki. Z nie-

http://rcin.org.pl

dawno zmarłych poetów najbliżej podchodzą oni do typu Syrokomli i Lenartowicza. Konopnicka przy całej swojej lenartowiczowskiej prostocie i szerokim, romantycznym powiewie swojej pieśni, ogromnie dużo wchłonęła w siebie z duszy współczesnej.

Ale powróćmy do Glińskiego. Cała jego istota tęskni do jakiejś olbrzymiej, prasłowiańskiej epopei, której wspaniałym odłamem, przypominającym swoją kolosalnością płaskorzeźby pergamskie, jest „Pieśń królewska", gdzie Gliński jest epikiem czystej wody. Możemy go sobie wyobrazić tylko piszącym ogromne poematy epickie, jakieś rycersko-słowiańsko-stepowe epopeje.

Wystawmy sobie teraz tego kniazia halickiego, tego śniadego atamana zaporozkiego, tego wolnego ducha stepowego, tego kozaka, przygrywającego na teorbanie w rozchełstanej na ogorzałej piersi burce, wystawmy sobie jednem słowem Glińskiego w dobie współczesnej na bruku warszawskim. Coś potwornego już jest w tem zestawieniu, nieprawdaż? A jednak Gliński jest nam chronologicznie współczesnym poetą (o Glińskim-dramaturgu i o Glińskim - powieściopisarzu nie będziemy tutaj mówili zupełnie), mieszka pośród nas we współczesnej Warszawie, zara-

http://rcin.org.pl

biając piórem na utrzymanie rodziny i przyjmując, jako człowiek, żywy udział w życiu współczesnem. Jest serdecznym druhem Miriama i Langego, od których, jako poetę, dzieli go otchłań bezdenna. Dosyć sobie uprzytomnić, że Gliński jest współczesnym modernie krakowskiej i Przybyszewskiemu. „Pieśń królewska“ i „Wigilien“, „Noce bezsenne“ i „De profundis“, czyste, szlachetne, prostolinijne, romantyczne liryki Glińskiego i potwornie skłębione, spienione, wizyjne natchnienia, męczące halucynacye twórcze Wyrzykowskiego, Perzyńskiego, braci Brzozowskich... Nie, to rzecz nie do wiary, że to wszystko pisze się jednocześnie, że Gliński, Or-ot, stary Pług (autor „Sroczki“), Stefan z Opatówka (Felicyanowi należy się jakby jakieś odrębne miejsce) i my wszyscy znużeni myśleniem i życiem przerafinowani schyłkowcy, żyjemy i tworzymy w jednym czasie. To jest coś poprostu nie do wiary! Wewnętrzna duchowa pogoda, jaką słonecznieje poczciwa, filarecka, słodko uśmiechnięta twarz Pługa, siła męzka i optymizm, pomimo ciężkich życiowych warunków, rozjaśniające szczere, otwarte, rycerskie oblicze Glińskiego, byłyby wprost niepojętemi dla Przybyszewskiogo. Siwizna przyprósza skronie, srebrne włosy

http://rcin.org.pl

gęsto wplątują się już do czupryny, a mimo to w sercu płonie żar młodzieńczy, oko żywe i zawsze młode iskry zapału sypie. Nie wstydże nam, młodzi starcy współcześni?...

Kiedy się widzi tego silnego, słusznego mężczyznę o szlachetnej rycerskiej postawie, o rozrosłych barach i piersi, stworzonej do pancerza, kiedy się widzi Glińskiego w tużurku na raucie, czy w teatrze, chciałoby się mimowoli do niego zawołać: Ej, stepowy synu, mołojcze ukraiński, kniaziu z Rusi Halickiej, kneziu prasłowiański! Skądżeś się ty tutaj wziął pośród nas, beznadziejnych sceptycznych potępieńców, u rozświtu XX stulecia, w samym zgiełku naszej nowej cywilizacyi kapitalistyczno-mieszczańskiej, przy świetle elektrycznem, tramwajach, telefonach i parowych samochodach, głucho dudniących po bruku drewnianym? Skądżeś przywędrował do nas, tęskny kozacze, dziki atamanie, i po co? W wieku „Życia“, w wieku powieści „De profundis“, opiewającej kazirodczą miłość brata i siostry, w wieku mszy satanicznych, według krakowskich dewotek, odprawianych przez Przybyszewskiego? Co ty tu robisz pośród nas ze swoją spiżową stepowo-słowiańską indywidualnością, ze swoją burką kozaczą?

http://rcin.org.pl

Największą tragedyą talentu i twórczości Glińskiego jest przedewszystkiem to, że jest on nam współczesnym. Owiana stepowemi wichrami, związana nierozerwalnemi węzły z przyrodą i z ludem dusza prasłowiańska, pełna stepowych gwarów, wykołysana powiewem stepu szeroka pierś kozacza, którą rozsadzają poprostu potężne tony jakiejś epopei Bojana, duszą się w sceptycznej atmosferze współczesności, w niezdrowych wyziewach zatrutego humbugiem i merkantylizmem ducha kultury współczesnej. Małe życie, małe walki, małe ideały, mali ludzie, ciasne piersi, skrojone na miarę krawca. Wystawmy sobie Antoniego Malczewskiego, Seweryna Goszczyńskiego, albo Bohdana Zaleskiego, przeniesionych jakimś cudem w nasze życie współczesne, — a będziemy mieli wyobrażenie o piekielnych męczarniach, przez jakie musi przechodzić Gliński. Możemy sobie wyobrazić, jak w kryształowym pryzmacie szlachetnej duszy Glińskiego muszą się załamywać promienie naszego współczesnego życia.

Gliński jest romantykiem czystej wody. Jako lirnik prasłowiański, przejął on od ludu wiarę w upiory, widma, duszki, białe mgliste mary, snujące się po lasach i nad łąkami. Umie on wstrząsnąć nas potężnie uczuciem gro-

http://rcin.org.pl

zy, jak chociażby w „Strasznej bajce“: „Kto wejdzie do środka, wnet widmo go spotka u gmachu siódmych drzwi... Wzrok mgłą ma owiany, na piersi trzy rany, a w ręku czarę krwi“. Wychyliwszy z rąk mary, krwi świeżej pół czary—śmiałek weźmie w pierś własną jej męczarnie i bóle, i odtąd poświęci dla niej życie. To samo głębokie uczucie przenika „Taniec śmierci“ („I ciągle mi się marzy rozbity jakiś szaniec i mędrcy w błaznów czapkach i ich śmiertelny taniec“), „Najpiękniejszą“ („Tyś najpiękniejsza między wszystkiemi, najdroższa dla mnie, o—droga krajno“!), „Smutno mi Boże!“ „Przed posągiem Niobe“, i wiele pięknych, natchnionych poezyj „Wyboru“. Przed oczami wyobraźni Glińskiego przesuwają się takie cudne wizye, jak „Kwiat stepu“, pełen nieopisanego czaru i odczucia życia włóczęgowskiego, obrazek cygańskiego dziewczęcia, tańczącego na stepie przed rozpiętym cyganów namiotem: „W otoczeniu wędrownej drużyny coś koralem błysnęło i złotem: to ramiona, to usta dziewczyny! Jasna słońca patrzyła źrenica, mgły srebrzyste posnuły się kołem, gdy z cekinów pierścieniem nad czołem wystąpiła stepów tanecznica. I uniosła ramiona ku górze w ruchu wdzięcznym pochylając skronie — nagich piersi błysnęły dwie

http://rcin.org.pl

róże i miłośnie tuliły się do niej". Ogromnie soczysta, żywą i gorącą krwią pulsująca wizya twórcza! Jeszcze piękniejszą, bo charakteryzującą kniaziowską halickość indywidualności Glińskiego, jest potężna, szerokim rytmem epopei płynąca „Pieśń halicka", stanowiąca jakby jakiś odłam rzeźby dziejowego eposu. Pod przyprószoną szronem siwizny, ale zawsze rozwichrzoną, bujną lwią grzywą Glińskiego, w pełnej stepowych tętentów i dum bojanowych jego głowie, roją się jakieś halickie dworce, do których przy dźwiękach srebrnego rogu zajeżdża nocą z rycerską drużyną „chrobry Lachów król", na którego czekała bezsennie w świetlicy na puchowem łożu stęskniona, rozkochana kniaziowa. „Zmilkły pieśni, jeno blaski srebrne rzuca księżyc śród powietrznych dróg... Do snu ciebie układły służebne i z pokłonem opuściły próg. Snem ujęty śpi halicki dworzec, świętej Rusi usnął stary gród — twoje serce drżało, jak proporzec, a król lacki pił ust twoich miód". Może mamy tutaj do czynienia z głuchym, atawistycznym pociągiem zabłąkanego na bruk warszawski potomka kniaziów do podobnych obrazów i tematów.

Przemieszkiwanie w Warszawie i nad wyraz ciężkie warunki, w jakich życie

http://rcin.org.pl

postawiło Glińskiego, stanowią wiecznie jątrzącą tragedyę, która nie pozwala mu, jako poecie, rozwinąć skrzydeł do ogromnego, stepowego, orlego lotu. Szeroka ta pierś męzka, potrzebująca szerokiego oddechu na stepie, żeby wybuchnąć, jak wulkan lawą, jakąś zamierzchło-słowiańską epopeją, dusi się w naszej miłej Warszawce, w kieracie codziennej literacko-dziennikarskiej pracy, w miłym zaduchu mieszczańsko - episjerskiego tutejszego życia. Potężne fragmenty „Pieśni królewskiej", natchnione „Noce bezsenne" (drukowane w „Ateneum" za redakcyi prof. Chmielowskiego) — oto co nam dał dotychczas Gliński, jako poeta o eposowej skali. Czyż może być większa tragedya od widoku tego ducha twórczego, łamanego kołem brutalnej życiowej konieczności? Już to na tem miejscu co krok potykamy się o rozdzierające tragedye beznadziejnych, potępieńczych duchów, szamoczących się w dantejskich męczarniach. Prawie każdy lepszy wiersz Glińskiego wywiera na nas wrażenie jakiegoś niedonoszonego, nieskrystalizowanego w pomyśle, olbrzymiego w aspiracyach poematu. Wielkim, epickim był zawsze temat takiego wiersza, głębokim, strasznym ból, który rozsadzał przy jego tworzeniu serce pieśniarza. Ogro-

http://rcin.org.pl

mną jeszcze tragedyą talentu Glińskiego jest łatwość i konieczność zarazem tworzenia. „Popełnił“ on wskutek tego wiele wierszy zupełnie lichych, winietkowych, gdzie suche banalności, wytarte ogólniki i pospolite rymy leją się jak z cebra. Na szczęście, nieudolne te fabrykaty nie weszły w skład „Wyboru“. Przykre również wrażenie wywierają te poezye Glińskiego, gdzie stara się on być zabawnym, żartobliwym a nawet flirtującym, co już poprostu przygnębia („Rozmowa“). Lew stepowy, stworzony do potężnego ryku, rozlegającego się w nieskończoności, udający lwa salonowego, wywracający przed banalną damą z mieszczaństwa flirciarskie kozły przy światłach kinkietów, podniecającym zapachu tuberoz, i t. p. Mimo to wszystko, Gliński jest jedną z najbardziej zajmujących indywidualności w naszej współczesnej poezyi, zjawiskiem odrębnem i nadzwyczaj ciekawem.

http://rcin.org.pl

Franciszka Arnsztajnowa.

Jest coś potwornego w tych hetakombach z artystów i poetów, składanych bezlitośnie przez Ananke na kamiennych, okrwawionych ołtarzach Molocha-życia... W rozwartej a wiecznie głodnej jego paszczy giną księżycowe kielichy lotosu, odrębne, subtelne indywidualności artystyczne. Życie miażdży w swoich krowich zębach z równą bezmyślnością siano, konwalie, fiołki i tulipany, jak i pajęcze płatki baśniowego kwiatu marzenia. Na szczęście, w ostatnich czasach młode indywidualności twórcze coraz bardziej dochodzą do uświadomienia sobie tego, że ostatecznie życie z jego brutalną, jarmarczną jaskrawością słoneczną, z ordynarną plastyką i dzikiemi, karczemnemi wrzaski, ze wstrętną ohydą brudnych, zwierzęcych na-

http://rcin.org.pl

miętności, stanowi jedną z marniejszych halucynacyj. A wobec nieprzejrzaności, nieskończoności i otchłannej bezdni duszy ludzkiej, wobec zaklętych, szmaragdowych światów marzenia, wobec niebiańskich zachwytów i ekstaz kontemplacyi, — brutalnie rzeźniczy Moloch życia jest czemś poprostu wstrętnem. Dziki, gorączkowy sen na jawie, dziwaczny, chorobliwy, niby odbicie we wklęsłych albo wypukłych zwierciadłach... Błazeńsko wykrzywiona maska tragiczna, marna ułuda, jak bańka tęczowa, mieniąca się kłamliwemi iluzyami szczęścia... Nic też dziwnego, że my, młodzi, odwracamy się z bojaźnią mimoz od zgiełkliwego, słonecznego, buchającego krwią i łzami życia, i spoglądamy z tęsknotą przez kryształowe tafle okien na cichy, księżycowy park błądzących cieni, mistycznych przeczuć Nieznanego i pijanego marzenia. Wobec straszliwej głębi wieczystej tajemnicy bytu, wobec sfinksowej zagadki świadomości i duszy ludzkiej—brzęczący uprzykrzenie wokoło nas kiermasz życia, pełen doczesności i jej marnych zabiegów, znikome ziarnko piasku w Saharze czasu, przelotna, jak mgnienie oka, chwila wieczności, nadymająca się, jak bańka mydlana, w pociesznej zarozumiałości i pysze, cała ta, czyniąca tak wiele wokoło siebie hałasu, ubożu-

http://rcin.org.pl

chna teraźniejszość — wydaje się nam śmieszną farsą, lichą cyniczną operetką i przejmuje nas niechęcią i niesmakiem.

Ale dosyć już tego. Nie piszemy traktatu o życiu, tylko próbujemy naszkicować duchowy profil poetki. Przedtem jednak, nim się do tego zabierzemy, niech nam wolno będzie jeszcze stwierdzić, że taki poeta ziemi, słońca i życia, poeta-człowiek, krwawiący sobie nagie stopy o głazy i ciernie w mozolnym, tragicznym pochodzie na Golgotę ludzkości, że jednem słowem Kasprowicz, „syn ziemi", jak go nazywa Przybyszewski, wybuchnął w potężnym wierszu („Byłeś mi dawniej bożyszczem, o tłumie!") namiętnem szlochaniem, gorącemi łzami żałosnej skargi, na ów tłum bierny a monotonny jak fala, na owo straszliwe życie, wszechpotężnego Molocha, którego padł ofiarą, otrzymawszy jedynie w zysku mało zresztą pociechy i ukojenia przynoszący tytuł: „społecznego, zdrowego poety, odczuwającego głęboko bóle i nędze ludzkości". Trzeba jednak przyznać Kasprowiczowi, że zoryentowawszy się szybko w położeniu, z lwią siłą otrząsnął z siebie suggestyę tłumu. W ostatniej potężnej fazie swojej twórczości Kasprowicz coraz bardziej traci prawo do powyższego szanownego tytułu. Mamy wstręt do wszelkich haseł w sztu-

http://rcin.org.pl

ce i poezyi, nie możemy się jednak powstrzymać od sformułowania w paru okrzykach naszej wiary estetycznej. A więc precz ze wstrętną mistyfikacyą życia! Evoe Izis mistica!

Pani F. Arnsztajnowa, już przedewszystkiem jako kobieta, jest geniuszem życia, urodzoną społecznicą, „córką ziemi“. Ponury tragizm Molocha, grzebiącego w otchłannej swej paszczy nieraz cudowne dusze ludzkie, jest daleko bardziej przejmującym, jeżeli pożeraną przezeń ofiarą, artystą czy poetą, jest kobieta, ów naturalny sprzymierzeniec przyrody i życia. Jeżeli przytem ów poeta płci żeńskiej posiada w sobie boski pierwiastek odrębnej indywidualności (ogromnie rzadko, dodajmy nawiasem, spoczywający w duszach kobiecych) wówczas, powstaje w jego duchowej istocie tragiczny rozłam, wstrząsający zaiste swoją ponurą grozą. Wszystko, co jest w tym artyście kobiecego, a więc uspołeczniającego, niwelującego, jednoczącego, wzdryga się na buntowniczego ducha odrębności, oddzielności, osobności, będącego istotną cechą potężnego duchowego „ja“, wszelkiej mocnej indywidualności. Obronne przeciwstawianie się wszystko niwelującej i strychulcującej tłuszczy ludzkiej, gruntowne poczucie śmiertelnego antagonizmu i głuchej nienawiści

http://rcin.org.pl

tej tłuszczy względem siebie—stanowią charakterystyczne cechy duchowej jaźni prawdziwego poety i artysty. Czysta sztuka i poezya istnieje zawsze tylko poza życiem, a prawy poeta i artysta znajduje się zawsze poza społeczeństwem, zupełnie obcy jego przemijającemu, znikomemu zgiełkowi, sfinksowo zapatrzony w gwiaździste otchłanie wieczności...

Możemy więc sobie wyobrazić, jakie zawiłe zachodzą komplikacye, ogromnie zwiększające tragizm walki artysty z życiem, jeżeli tym artystą jest kobieta, w której wszystko kobiece wzdryga się na to, co powinno być i co jest dla niej, jako dla poety, najdroższego. Ogromnie rzadko, a nawet śmiało możemy powiedzieć, że prawie nigdy nie towarzyszy podobnemu psychologicznemu procesowi u kobiety-artysty świadomość. W duszy pani Arnsztajnowej, która jest indywidualnością poetycką (dowodzą tego dwa utwory, o których pomówimy za chwilę), indywidualnością, niestety, prawie już stratowaną, pożartą przez Molocha-życie, ponura tragedya rozłamu serca kobiety i jaźni artysty rozgrywa się bez udziału świadomości. Gdyby było przeciwnie, artystka mogłaby w niej jeszcze zwyciężyć kobietę, geniusza życia, społecznicę. Jak dotychczas, prawie ze wszystkich

http://rcin.org.pl

poezyj pani Arnsztajnowej przebija utajona (może nawet dla niej samej) ambicya poetki zostania jakimś kobiecym Kasprowiczem, „córką ziemi“ (i to ziemi rodzinnej, do której miłość wielka i głęboka przenika jej utwory, szczególnie „Przybłędę“, „Przypowieść“ i „Grajka“). Poetka bezwiednie ulega silnemu wpływowi Kasprowicza, od którego przejęła w niektórych poezyach jego wiersz nierówny, poszarpany przez wzruszenie łamiącego się głosu. Widocznem jest, że pani Arnsztajnowa chce być poetką zdrową, kochającą życie i ludzi, poetką nawet o pewnym zakroju społecznym. Zamieszczony na końcu zbioru wiersz „U wyłomu“ nosi już cechę pewnej „życiowej“ tendencyjności. Posłuchajmy przez chwilę tego trochę krzykliwego hymnu kobiety na cześć życia, kobiety, będącej w rozdźwięku, jak się o tem przekonamy zaraz, z głębokiemi wewnętrznemi poruszeniami duszy artystki: „Życie!... U twoich wrót czarami twemi stoję olśniony... Barwy, blaski, wonie, tony, do mnie, do mnie, tu!... Czary!... czary!... Lasy, łany, łąk dywany, turnie skalne, wichry halne, żywe zdroje, niebios dzwon, zmierzchy, świty, czynów war, natchnień szczyty, marmury łon, miłosnych drgnień płomienny żar, wszystkie barwy i szumy, wszystkie

http://rcin.org.pl

gędźby i loty, wszystkie myśli bezmiary, wszystkie uczuć pieszczoty i wszystkie piękna tumy — (jak widzimy, kompletny bazar! przypis. aut.). Moje! Wszystko moje"! Jakaż bezdenna otchłań dzieli ten sztuczny patos (w utworze tym pani Arnsztajnowa, jako artystka, nie była sobą, była nieszczerą) od podobnie brzmiącego okrzyku Konrada w trzeciej części „Dziadów"! Tam potężny duch geniusza wzbił się na orkanowych skrzydłach na gwiazd kołowroty i w ogromnej, gwiaździstej ciszy wszechświata z Bogiem bierze się za bary... Tutaj...

Ale skończmy z tendencyjnemi, wierszowanemi deklamacyami, żeby módz się przyjrzeć dwóm gwiazdkom brylantowego szabru, na który została pokruszoną artystyczna indywidualność poetki przez potworne, spiżowe koła ciężkiego rydwanu życia. Porusza do głębi przedziwny, pajęczej delikatności stimmung p. t. „Park". Artystka jakby zapomniała tutaj zupełnie o swojem urzędowem stanowisku utalentowanej poetki w rodzaju Kasprowicza (i trochę może Konopnickiej), kochającej życie, ludzi, a zwłaszcza lud prosty, — i z najwewnętrzniejszych głębin swojej duchowej istoty, w zupełnem oderwaniu od świata i życia, w głuchej samotności i w chłodnym mroku mistycznej

http://rcin.org.pl

katedry własnej duszy, przedziwnie wysnuła w tajemnem świetle zielonawych księżycowych promieni—pajęczą, powiewną, szklącą się tęczowo przędzę baśniowego marzenia... Oto kilka jej włókien: „Widzę... zrazu we mgle, zwolna, coraz jaśniej... Tak nieraz w baśni, tajemniczo szeptanej zimową porą przy kołowrotków warczeniu, albo w sennem marzeniu... Park... pod gęstnolistną czarnych lip arkadą, siwym, równym pasem ciągnie się drogi wstęga, hen, gdzieś daleko, zda się, że niebios sięga. Wygięte lip gałęzie w niepewnym blasku księżyca jakieś niepewne kładą ruchome cienie...“ A kończy się ta księżycowa symfonia, grana cichutko na skrzypcach: „Znam, ach znam tę ciszę błękitnej zadumy i te senliwych kołysań bezszumy i te płonące zimnem srebra zarzewiem stawu wody i te cienie drżące, co idą... idą... Znam, ach znam... Czyli z baśni, zimową szeptanej porą, wskroś kołowrotków warczenia, czyli z tęsknego duszy mojej marzenia, czyli ze snów błękitnych?... Nie wiem... Ale znam, ach znam ten park“. Czujecie świeży zapach zroszonych konwalij?... słyszycie ciche, stłumione łkanie nokturnu Szopena?... Czy słyszycie metaliczne dźwięki czystego, szlachetnego złota poezyi?... Doprawdy, że ta perła natchnienia

http://rcin.org.pl

okupuje w zupełności pomieszczone niedaleko niej bębnowzniosłe „Hasło“, pełne banalnych, wytartych ogólników o wzruszaniu ziemi pod ziarno przyszłości (ach, to nieszczęśliwe, na wszystkich klepiskach tendencyjnych wierszy wiecznie młócone ziarno!), o wyrywaniu chwastu i perzu, pługach, kielniach, rydlach i młotach, o wschodzie słońca... Czuli słuchacze o społecznem zabarwieniu domyślają się zapewne, jak to tam dalej było... Pardon! Dalej już nic nie było, gdyż na wschodzie słońca skończyła się cała chryja. Nie takiej już wody, jak „Park“, ale swoją drogą cudną perłą poezyi jest poemacik „Z bezsennych nocy“. Jest to cichy płacz tęsknoty do utraconego, baśniowego raju duszy, płacz artystki, starganej, sponiewieranej, prawie już zabitej przez kobietę, kochającą życie, ludzi, a zwłaszcza lud... „I coś mi w sercu wzbiera, i coś mi pierś rozpiera, nie wiem, czy śmiech, czy łzy, wiosenne ciche łzy; i stoję tak do rana, w półśnie zaczarowana, zaklęłaż bo mnie moc, wiosennej ciszy moc; i czekam — nie wiem na co, i kocham — nie wiem za co i bzy i maj i noc, wiosenną cichą noc“. W pustyni samotności tylko, zdala od jarmarcznej ohydy życia, perły takich czystych łez dobywają się z duszy artysty, jak ze skrwawionej konchy...

http://rcin.org.pl

Leopold Staff.

...W bocianiem gnieździe zbłąkanego w oceanie czasu, jak czarna mewa, żałobnego okrętu ludzkości powstał ruch jakiś niezwykły. Czuwający tam „wizjonerzy“ i „marzyciele“ (podczas kiedy „trzeźwa“ załoga leżała pokotem na pokładzie, uśpiona snem życia), wpatrzeni tęsknemi oczyma w szafirowe otchłanie, zapisane niepojętemi dla śmiertelnych gwiaździstemi runami zagadki bytu, dostrzegli na widnokręgu niepewny, zielonawy prześwit duchowego raju na ziemi, cichego, słodkiego, sennego Elizeum świetlanych eonów... Jakgdyby pogrążonym w zroszonej gwiazdami oponie nocy wszechświatem wstrząsały rozkoszne dreszcze przeczucia, że niezadługo wzejdzie tryumfalnie, wybuchnie radosnym oceanem zielonego światła szmaragdowe słońce marzenia...

http://rcin.org.pl

Na duchowych widnokręgach ludzkości, w baśniowych złotych pałacach, zatopionych w tajemnej głębinie wieczyście smutnej, hamletowej duszy człowieczej, już dzieją się cuda, już słychać hejnały, poprzedzające wielką, potężną hosannę duchów... Zmartwychwstają, a raczej odradzają się feniksowo z popiołów, promienne, księżycowe psychy Shelley'ów, Keats'ów, Edgarów Poe, Krasińskich, Słowackich. Epipsychidjony, Irydjony, Anhellowie, przy błyskach gromu zjawiające się krwawe, tytaniczne wizye Królów-Duchów, złotoharfowych, druidycznych starców Derwidów, zapładniane przez prochy, tragizmem istnienia oszalałe Rozy Wenedy schodzą do nas, pogłębione o całe piekło świadomości i sceptycyzmu, a nawet przez trawiący ogień tych szatańskich potęg jakby oczyszczone. Coraz więcej mamy pośród siebie tak zwanych duchów paradoksalnych, anhellicznych, świetlanych eonów, spętanych wstydliwością i nieśmiałością uczucia, kryjących nieraz pod banalnym uśmiechem złote sezamy duchowych skarbów. Czyż to nie jest bajecznym symbolem, że taki Wyspiański podjął na potężne barki poety prawie przechodzące siły ludzkie zadanie przedłużania „Króla-Ducha", wywiązując się z niego zwycięzko? Jakby upiór potężny a dostojny (w świeżo

http://rcin.org.pl

nagrodzonym przez Akademię Umiejętności w Krakowie witrażu tegoż Wyspiańskiego pod tyt. „Kazimierz Wielki“, wyjrzał ku nam z przeszłości olbrzymi królewski kościotrup w koronie na trupiej głowie i z berłem w ogromnym piszczelu, monarsza wizya nadchodzącego tryumfu marzenia...

Jednym ze zwiastunów tego tryumfu, jedną z boleśnie napiętych, serdecznie rozedrganych strun w mającym rozegrzmieć akordzie, jest Leopold Staff. Czysta, śnieżno-biała, anielska ta dusza wizjonera wywiera wrażenie, jakby była utkaną z księżycowych promieni najidealniejszego marzenia. Indywidualność tego poety, nadzwyczaj odrębna, subtelna, wytworna i delikatna, ma w sobie koronkową, pajęczą, prawie powietrzną panteistyczną rozwiewność Shelley'a i Keats'a. Świeżość zroszonych wiosennych kwiatów, przejrzystość kryształu, niedbały wdzięk i niemateryalna lekkość, najwyższe uduchowienie, nadprzyrodzona, aureolowa świetlaność i jakby jakieś ekstatyczne wniebowzięcie, cechują poezye Staffa.

Charakterystycznym rysem indywidualności młodego artysty – marzyciela jest prawie zupełne oderwanie się od życia rzeczywistego i od rzeczywistej przyrody. Utwory jego zaludniają duchy czyste, promienne, złote, a każdy

http://rcin.org.pl

listek jego przedziwnych stimmungów pejzażowych jest jakby przesycony wewnętrznem, mistycznem światłem marzenia. Staff nietylko z ciężkiem, materyalnem życiem żywych i martwych brył ziemskich nie ma nic wspólnego, ale on trwożliwie pierzcha przed tem życiem, jak czarowne marzenie pierzcha przed chłodną rzeczywistością, jak Zosia przed panem Tadeuszem. Do życia tak zwanego prawdziwego (chociaż wielka to jeszcze kwestya, które z nich jest prawdziwem?) poeta wstrętu, ani nienawiści nie żywi. Zbyt jest uduchowiony, zbyt dobry i szlachetny na podobne uczucia. Jako dusza, obficie uposażona w dary Boże, dusza wspaniała i szczodra, nasz marzyciel śni, że jest „bałwochwalcą życia, potęgi“ (sen nigdy nieziszczony!), mocarzem, który nie pragnie niczego, gdyż ma wszystko. Wówczas woła: „Pono są gdzieś ludzie, co tajemnie trawią się żarem tęsknot... Hej, zwołać ich raby! Szczęśliwym stać się musi każdy nędzarz słaby!“ Gdyby więc był to człowiek żywy, poeta tak zwany zdrowy, może mielibyśmy jeszcze jednego społecznego trybuna z lutnią w ręku. Na szczęście, jest to tylko marząca dusza ludzka, psyche prawego artysty, nieruchomo zapatrzona, jak żebraczka z „Króla Kofetuy“ Zeyera, poprzez grubą, ordy-

http://rcin.org.pl

narną oponę złudy życiowej, pozorów—w niewidzialne dla zaślepieńców życiowych, nieprzejrzane perspektywy ducha i wieczyste, otchłanne głębie... Wobec podobnej organizacyi psychicznej zrozumiałem jest, że dusza poety „zakuła pierś w puklerz ze złota, co smutkom zamknął do serca jej wrota i tylko słońca skrom otworem stoi— i nie rozbroi się, o, nie rozbroi!“, gdyż zetknięcie z brutalną jawą życiową mogłoby skalać śnieżną, lilijną białość Psychy...

Dotarliśmy tedy do drugiego zasadniczego rysu artystycznej jaźni Staffa, a mianowicie do jego obronności wobec życia rzeczywistego. Poeta z architektoniki złotych pałaców własnej duszy i z cenności materyału, z jakiego te gmachy, tonące w gąszczu dyamentowych ogrodów, są wzniesione, zdaje sobie sprawę zupełnie. Nie zechciałby on nigdy narażać pajęczego lotosu marzenia na mroźny powiew brutalności życiowej. Ostrożnie, jak monstrancyę, cichy marzyciel niesie przez życie pęknięty puhar swojego serca, napełniony „winem łez i krwią serdeczną“, trzymając się „zdala od uczt, gdzie pośród płomiennego szału biesiadnicy trącają w wezbrane kielichy!“ Mowa ludzka wydaje się poecie zbyt materyalną. Jakby z rozpaczą powiada on o sobie: „Kiedy przy-

http://rcin.org.pl

szedłem na ten świat posępny, mroczny, jak okręt z mórz bezdennych do nudnej przystani, zapomniałem słów jakiejś mowy nadobłocznej, której mnie uczył wielki Bóg tajnej otchłani". Może to była mowa wiecznego, poe'owskiego milczenia?

A jednak przy całem skrystalizowaniu swojej indywidualności, przy zupełnem artystycznem uświadomieniu, Staff nie zdołał uchronić się zupełnie od suggestyi życia i kobiety (suggestyi tłumu nie dostrzegliśmy). Pomimo najusilniejszych poszukiwań, zdołaliśmy wyłowić jeden jedyny brutalnie plastyczny czterowiersz: „Wśród swawolnej gonitwy w boru gęstwie szarej, usłyszał Faun rozkoszne słowo obietnicy z gorących ust rusałki nagiej, śniadolicej, i pobiegł swą radością huknąć w mroczne jary". Odrazu widać, że poeta nie był tutaj sobą, był wewnętrznie nieszczerym, że jednem słowem przebrał się za Tetmajera, którego już świadomie naśladuje w „Melodyach zmierzchów". Dalej ten sonet („Echo") rozpływa się już w marzeniu o karłach „długobrodych, zadziwieniem śmiesznych", przytulonych do stromych skał i ciskających sobie niby piłkę, radosny okrzyk Fauna, „szklaną, barwną kulę, bujające dziwo, cud tęczowy", rozbijający się, jako echo, o skały. Staff po-

http://rcin.org.pl

wrócił do swojej własnej skóry i stworzył baśniowy, böcklinowski stimmung. „Pieśń o oczach“, pomimo wyraźnej suggestyi kobiety, zawiera w sobie minimalną przymieszkę brutalności zmysłowej. Czarowny ten poemat, nawet jego akordy bardziej ludzkie i namiętne, łagodnie rozświeca przyćmiony nimbowy blask marzenia. Odsłaniając przed naszemi zachwyconemi oczami pełne różnokolorowych drogich kamieni, złote sezamy czystej, nieskalanej duszy dziewczęcej, zatopione w „toniach jeziornych“ jej oczu, poeta jakby zapominał, że jednak poza tym wszechświatem marzenia czają się żółte ślepia, połyskują tygrysie szpony instynktu rozrodczego. Zresztą, wolno było Staffowi „wczarować“ (wyrażenie Przybyszewskiego) swoją marzącą duszę w „ciche kobiece oczy“, tak że znalazły się w nich nawet nieistniejące tam cuda. Poeta zdołał opromienić marzeniem, uduchowić niejako nawet wulkaniczne wybuchy żądzy dziewczęcej, „słońcu bezczelnie nagim urągającej bezwstydem“, i hymn do kobiety — matki, z którego warto przytoczyć charakterystyczny urywek: „Kobieto—Matko! Myślą baw na marzeń szczycie! O, Święta, bo nosząca w sobie nowe życie. O, Domie Złoty, który miłość nawiedziła! Wieżo z słoniowej kości, z której wyjdzie siła!

http://rcin.org.pl

Naczynie wzniosłe, pełne przyrody mądrości! Bramo, przez którą ludzkość idzie w dal przyszłości! O Urno, w której drzemie życia tajemnica! Świątynio, w której tajnia śni zakrywszy lica! O, Ołtarzu, na którym misteryum tajemne odbywa Bóg nieznany, skryty w mroki ciemne!“ W litanii tej słychać lekki, charakterystyczny szmerek wonnej kadzielnicy, potrząsanej przez Staffa przed świętem palladium reprodukowania gatunku.

Przy całej odrębności swojej artystycznej jaźni, przy całej oryginalności, nie zdołał się uchronić nasz poeta marzenia od postronnych wpływów. Indywidualność Staffa niezaprzeczenie jest pokrewna straszliwemu, upiorowemu duchowi Edgara Poe, jednak również artysta uległ zawrotnemu, maelstromowemu czarowi tego dziwnego geniusza. W „Strasznej nocy“ i w cyklu „Burze“, a zwłaszcza w „Dzwonach“, wpływ Poe'go jest bardzo wyraźny. O pokrewieństwo duszy Staffa ze świetlanym, promiennym duchem Shelley'a potrąciliśmy poprzednio, jak również o świadome naśladownictwo Tetmajera. Pozostaje więc nam jeszcze powiedzieć słów kilka o dużym wpływie Böcklina i Nietzsche'go. Staff posiada w sobie dużo böcklinowskiej wyobraźni, od Böcklina jednak dość zasadniczo różni się

http://rcin.org.pl

tem, że staffowe karły, koboldy i psychy są bez porównania mniej materyalne i ludzkie czy zwierzęce, niż nadprzyrodzone istoty Böcklina. Najpiękniejszym, böcklinowskim uduchowionym stimmungiem Staffa jest „Studnia". Marzący szept pochylonej nad cembrowiną młodej dziewczyny spada po omszałych ścianach w głąb studni, gdzie posłuszne jej skinieniu wodne koboldy kładą do spuszczonego wiadra „jakiś złoty skarb, jakieś cudne kwiaty, których nadrą na dnie w porostach wodnych i dziwne klejnoty". Potężny wpływ Nietzsche'go znalazł swój wyraz w cyklu przepięknych sonetów p. t. „Sny o potędze". Po sonetach krymskich, a z nowszych Asnyka, Miriama, Pieńkowskiego i Nowickiego, nie zdarzyło nam się spotkać z czemś podobnem. Półświatło marzenia, jakie wypełnia smutną, anhelliczną, shelley'owską duszę Staffa, zgęstniało w tych sonetach, stwardniało w jakiś granitowy płomień, z którego poeta wyszarpuje szalejącem dłutem natchnienia olbrzymie, tytaniczne wizye Michała Anioła...

A jednak oddalibyśmy wszystkie sny o potędze (które bądź co bądź nie są jeszcze samą potęgą) za pełen baśniowego czaru marzenia, przedziwnej piękności utwór Staffa p. t. „Było to dawno"... Ogień płonie na kominku...

http://rcin.org.pl

Przed ogniem, na starym, spłowiałym fotelu, z głową wtył przechyloną i opartą na poręczy, siedzi nasz marzyciel, nie myśląc o niczem, tylko marząc, zapatrzony w wiszące po kątach pajęczyny i w rozżarzone na kominku głownie... Na dworze noc ciemna, mroźna i śnieżna zawierucha... W pokoju jest niby tak dobrze, zacisznie, a jednak niewołana z duszy wypełzła tęsknota... Było to dawno, w jakiejś baśni... Fotel obstąpiły smutne karły... Królewny pomarły w więziennych lochach, skarby zabrał olbrzym z kryjówki w skałach... „Lecz powiedz, czemuś smutny ty, co ciebie boli?“... Ach, pierś młoda marzyciela rozdarta przez życie... Dziś z dumą zwycięzką wracają tryumfalnie waleczni witezie, jego koń na żałobnym, czarnym wozie wiezie... W oczach poety stanęły duże łzy... I po co śnić o potędze (niekiedy o surogacie potęgi), skoro prawdziwa potęga jest właśnie w marzeniu?... Zrozumiała, szlachetna lękliwość Staffa o nieskalaność duszy, narażonej na brutalne, mroźne podmuchy życia, znalazła swój wyraz w ślicznej modlitwie: „Chroń, Panie, wątłą mojej duszy zieleń od podeptania i martwych spopieleń, abym wśród życia Ostatniej Wieczerzy czuł jej aromat balsamiczny, świeży. I niech rozpięty na Krzyżu konania, nie wi-

http://rcin.org.pl

dzę słońca, co w pomrok się słania, lecz niech mi wiara, Matka Boleściwa, wskaże dal, gdzie się świt nowy odkrywa". Życzymy gorąco poecie marzenia, żeby Bóg jego serdecznej modlitwy wysłuchał...

KONIEC SERYI PIERWSZEJ.

http://rcin.org.pl

50,-
http://rcin.org.pl
Ulr 73/2023 D

http://rcin.org.pl

BIBLIOTEKA IBL
III
37.723

http://rcin.org.pl